POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 4-go stycznia 1941r.*** **Rok III. Nr. 1**

Idea powstania wielkopolskiego

Nadszedł po cztero-letniej wojnie światowej dzień 26 grudnia 1918. Poznań wita sędziwą postać Wielkiego Polaka. Czekano na Armię Polską Generała Hallera, która "z Francji morzem płynąć miała do polskiego portu Gdańska."

Rozpalone serca Polaków zelektryzowała wieść, że Ignacy Paderewski przybywa do Poznania w towarzystwie komisji alianckiej. Napięcie oczekiwania przez całą długą wojnę dochodzi do zenitu. Naród, wszystkie stany, Poznań cały od staruszka do maleńkiego dziecka, wszyscy oni uczcić chcą chwilę, która jest —wszyscy to wyczuwają—zapowiedzią wielkich zdarzeń.

Faluje tłum od Dworca do Bazaru w to późne popołudnie. Nic nie znaczą władze pruskie, nic nie znaczy wojsko pruskie. Ukryli się po koszarach, po urzędach. Polacy witają Paderewskiego. Polacy utrzymują ład i porządek. W sercach zbudziła się już dawno pewność, że nadejdzie chwila, gdy odpowiedzialność za ład, za rządy, za władzę na ziemi rodzinnej objąć musimy my sami.

I chwila ta nastała. Dzień 26 grudnia 1918 r. był dla Poznania, całej Wielkopolski, Pomorza i Śląska pobudką, wieszczącą, że bliski jest moment zwrotny w historii narodu polskiego.

A ilu z mieszkańców tych dzielnic witało wielkiego patriotę? Każdy, kto przeżył ten wieczór wspaniały odpowie krótko: wszyscy.

A czy były partie? Nie, nie było ich. Był naród cały. I ten od młota, i ten od pługa, i ten od warsztatu, i ten od pióra, i ten od ołtarza, i ten od książki, i ten od zaszczytów. Były Rady Ludowe i Kamisariat Naczelny Rady Ludowej z Wojciechem Korfantym na czele. I matka—Polka i dziecko polskie. A było ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Bo Poznań był, jest i będzie polskim miastem.

I padały okrzyki, padały gorące wiwaty.

Niech żyje Niepodległa Polska!

Niech żyje Zjednoczona Rzeczpospolita! Niech żyje Warszawa, niech żyje Kraków, niech żyje wolny Poznań, polski Gdańsk, polskie Pomorze, Mazury i wolne Prusy Książęce, wolny Śląsk i Wilno. Góry i morze polskie.

Niech żyje wojsko polskie. . . .

Taki to był dzień 26 grudnia 1918 r. A 27 grudnia?

Dzieci polskie w szeregach swych przedługich, jakby wielotysięczne kwiaty, ruszające się, falujące, składały w południe hołd mistrzowi sędziwemu, defilując przed Bazarem. Wróg chytry z ukrycia przygląda się tym cudom i dziwom. Dzieci polskie, tysiące, tysiące—przecież to przyszłość, to siła, to broń najniebezpieczniejsza. Serca rosły, rosły u nas—u wroga rosła obawa, lęk i złość.

A przecież Poznań upiększony chorągwiami biało-czerwonymi po raz pierwszy po długiej niewoli! Tu i ówdzie widać dumne sztandary koalicji, potężnej Anglii, Francji i Ameryki. "Herr Leutnant" odważny wyprowadził swych żołnierzy, by "śmiało" zerwać sztandary, jak przystało na "dzielnego" żołnierza niemieckiego. Przedtem karabiny maszynowe uszykowano w ukryciu.

Padł pierwszy strzał. . . . Strzał ten był i będzie punktem zwrotnym długowiekowej historii walk dwóch narodów. Żywotna siła Narodu Polskiego wyładowała się w walce zbrojnej przeciwko Niemcom.

—Do broni! wołano, do broni!

Była broń i był żołnierz polski-powstaniec wielkopolski. Powstaniec wielkopolski pierwszym strzałem w dniu 27-go grudnia 1918 r., świadomie czy nieświadomie rozpoczął rozprawę krwawą, zbrojną z wrogiem krzyżackim, na nowo wszczętą w tych pierwszych latach dwudziestego wieku.

Strzał pierwszy, który padł 27-go grudnia w Poznaniu zapoczątkował nową historię Narodu Polskiego. Historię Narodu Polskiego w dwudziestym wieku. Naród polski po wielowiekowej defensywie na Zachodzie przeszedł zdecydowanie do ofensywy na Zachód. Wiemy dobrze z naszych dziejów przeszło tysiącletnich, że za defensywę płaciliśmy ciężko. Naród polski miłując wolność i pokój, niosąc wolność narodom, przegrywał i tracił zawsze na przestrzeni wieków, gdy tylko bronił się, lub odniesionego zwycięstwa nie zużył i nie wykorzystał.. Gdy natomiast w narodzie powstawał duch ataku, duch ofensywy, zawsze Polska wygrywała i zdobywała to do czego miała najświętsze prawo.

Tym żywiołem i takim duchem owiany był powstaniec wielkopolski. Parł on na północ ,na Pomorze, na Zachód, na Zbąszyń, na południe ku Śląskowi. Hetmanił powstańcom Duch Bolesława Chrobrego, Duch Władysława Jagiełły i Grunwaldu, duch zwycięskich królów i hetmanów polskich, duch insurekcji Kościuszkowskiej, duch Dąbrowskiego, idącego na Gdańsk, duch 1848 roku.

Toteż historia Polski w dalszym przebiegu dwudziestego wieku owiana być musi myślą ofensywną, skierowaną na Zachód i z tym również ku morzom. Wszelkie próby myśli politycznej defensywnej na Zachodzie muszą być wyrugowane z korzeniami. Próby ugody z wrogiem na Zachodzie były w wiekach ubiegłych zgubne. Były one tylko ułudą, którą wykorzystywał chytrze, podstępnie czy Krzyżak, czy król pruski, czy Hitler.

Za ducha defensywy, jaki tkwił w pakcie nieagresji polsko-niemieckiej naród polski krwawo zapłacił wrześniem 1939 r., w chwili, gdy Hitler poprowadził żołnierza swego nie, by zdobywać Gdańsk czy autostradę przez Pomorze, tylko by zdobyć dalsze przestrzenie "życiowe" na wschodzie.

Podobnie Francja za ducha biernej obrony, jaki tkwił w linii Maginot'a zapłaciła załamaniem się potężnej armii w chwili, gdy Hitler poprowadził żołnierza niemieckiego 10 maja 1940 r. nie na obronę Ruhry, czy zabezpieczenie neutralności Belgii czy Holandii. Prowadził on atak, by pokonać odwiecznego wroga na zachodniej granicy, zdobyć przestrzenie życiowe na zachodzie. Dał on wyraźne hasło żołnierzowi. Ma on budować przyszłość Niemiec na następne tysiąc lat.—

Prysła mrzonka potężnej, obronnej linii Maginot'a, jak sen przyjemny pryska, gdy twarda rzeczywistość zawoła. Tak też prysła mrzonka polskiej "linii obronnej Maginot'a," jaką miał być pakt nieagresji polsko-niemieckiej na Zachodzie. Wrzesień 1939 przebudził nas z ułudnego snu obrony biernej.

Ani pakt nieagresji, ani założenia wojny wrześniowej 1939 r. nie dadzą się pomieścić w idei, jaka ożywiała powstanie wielkopolskie. Są to sprzeczności zasadnicze.

Tym jaśniej mówić dziś możemy o błędach, jakie spotykaliśmy na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Świadczą one o niezrozumieniu istoty i znaczenia idei ofensywnej powstania wielkopolskiego w stosunku do wroga, który uznaje jedynie atak. Idea ta głęboko tkwi w duszy ludu na zachodnich ziemiach Polski.

Ileż przytoczyć można przykładów na dowód, że zapoznawano, pomniejszano, lekceważono znaczenie dziejowe powstania wielkopolskiego! Oto jeden z nich: Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie jest symbolem dziejowych lat wojny. "Historycy" umieścili na grobie nazwy wielu walk i potyczek. Są tam wymienione również i czyny drobne, jakkolwiek piękne i chwalebne. Obok nich postawili już historycytwórcy Grobu Nieznanego Żołnierza—tylko dwa słowa, które mają starczyć: Powstanie Wielkopolskie. A gdzie są nazwy, które się wsławiły odruchem nie tylko odwagi ludności całych miast czy wsi jak Poznań, Gniezno, Inowrocław, i wiele wiele innych, ale również odwagi i zwycięstwa powstańców, jak Szubin, Kcynia, Złotniki Kujawskie, czy walki pod Zbąszyniem i wiele wiele innych na południu, na zachodzie, na północy frontu wielkopolskiego?

A dalej jak dziwne, jak niepojęte—się dziś wydaje, gdy patrząc wstecz znajdujemy nazwę: Związek *Obrony* Kresów Zachodnich. Dlaczego obrony? Niemcy sami, pisząc o Związku Obrony Kresów Zachodnich nazywali go "Westmarkenverein." A słowo "Mark" w historii pruskiej miało specjalne znaczenie. Oznaczano nim ziemie zdobyte, mające zadanie wysuniętych twierdz, z których zdobywano dalsze przestrzenie.

Przytoczę jeszcze jeden przykład lekceważenia znaczenia powstania wielkopolskiego. Czy dziecko polskie w szkole usłyszało o znaczeniu idei powstania wielkopolskiego czy śląskiego tyle, ile potrzeba by było dla budowania przyszłej historii polskiej dwudziestego wieku?

Gloryfikujmy czyny wszelkie waleczności oręża polskiego, gdzie one zaistniały. Nie możemy jednak mierzyć ich wartości historycznej ilością zabitych czy rannych, ilością zdobytych karabinów czy armat, czy ilością jeńców. Ciężar gatunkowy ważnych czynów historycznych na polach walk częstokroć leży w ich idei samej. Takim czynem była śmierć Romualda Traugutta, takim czynem było powstanie wielkopolskie.

Wzrok narodu polskiego zwrócony został na zachód i ku morzu, nie w obronie lecz w ataku. Nie zmieni wartości tego czynu fakt, że w przebiegu powstania samego nie zawsze zrozumiany był pęd powstańca prący na przód. Ileż to razy spotkał się on ze słowem: szaleńcy.

Tym samym duchem ofensywnym owiane było również pierwsze, drugie i, niestety opóźnione, trzecie powstanie śląskie.

Przyznajmy się do winy. Nie doceniliśmy tego. Raczej okrutny wróg docenił—więcej wartość i groźbę tej ideologii, mordując i rozstrzeliwując po rozbójniczym napadzie wrześniowym wszystkich powstańców wielkopolskich i śląskich, których zdołał żywych uchwycić.

* * *

Takie myśli nasuwać się muszą, gdy w chwili obecnej Armia Polska w Szkocji rozpamiętuje i obchodzi rocznicę 27-go grudnia 1918 r.

Rok 1940, 1941 i dalsze! Niech nam przewodzi Wódz Naczelny owiany duchem króla Bolesława Chrobrego. Naród cały, cała Polska dziś rozumie, że wróg najgroźniejszy jest Niemiec, który mając na ustach słowo pokój myślał o wojnie i tylko o wojnie zaczepnej.

Żołnierz niemiecki ma zbudować przyszłość na następne tysiąc lat! Czy nie zbuduje on grobu na następne tysiąc lat dla narodu niemieckiego?

Będzie to zależeć od nas i od potężnego Imperium brytyjskiego, z którym Opatrzność związała ściśle nasze losy. Żołnierz polski w Szkocji nie tylko stoi na straży. Przygotowuje on się do dalszych czynów. Już nasze dywizje we Francji, już bohaterzy w Narwiku, już "Orzeł," już marynarka i już nasze wspaniałe orły polskie w powietrzu wykazały, że wieje duch inny.

Rocznica powstania Wielkopolskiego obchodzona przez nas w Szkocji przy boku Armii brytyjskiej, potężnej marynarki, wspaniałego lotnictwa R.A.F. jest wyrazem pochodu Polski ku nowej przyszłości.

Droga jest wyznaczona. Niemiecki "Drang nach Osten" zastąpić musi polski "Drang nach Westen" *nasze parcie na Zachód i ku morzu nie tylko bałtyckiemu.* Utkwijmy wzrok w zachód, gdzie stworzymy daleką i silną przyszłość narodu. Siła z tego się rodząca będzie tak potężna, że stanie się najlepszą i najpewniejszą gwarancją parcia i promieniowania kultury polskiej na wschodzie i południu.

Historia Wielkiej Brytanii w wielu jej momentach może nam służyć za przykład. Historia ta ostatnich lat uczy nas, jakie grożą niebezpieczeństwa, gdybyśmy zawahali się wkroczyć na twardą, kamienistą, długą a prostą drogę nowej historii polskiej. Nie może ona być historią obrony na zachodzie.

Idąc zdecydowanie tymi szlakami, doczekamy się tych chwil, gdy w Warszawie stanie nie tylko nowy pomnik grunwaldzki, ale prócz miejsc wsławionych w powstaniu wielkopolskim na Nowym Grobie Nieznanego Żołnierza z Wielkiej Wojny polsko-niemieckiej wyryte będą czyny chwalebne września 1939 r., Narwiku, Francji, Londynu, Bałtyku i Morza Północnego.

Boć zaświta dzień, gdy wzniesie się ponad góry szkockie, na morzu i w przestworzach Mazurek Dąbrowskiego, gdy żołnierz polski śpiewać będzie:

"Marsz, Marsz Sikorski
Z ziemi szkockiej do Polski."

Obóz Polski.

T. S. Jastrzębiec

ROZKAZ DO ZOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Żołnierze,

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, Święta Chwały Boga na wysokościach a pokoju ludzi dobrej woli na ziemi.

Święta te obchodzimy zawsze w Polsce według starodawnych naszych tradycyj bardzo uroczyście w gronie rodzinnym przy wtórze przepięknych kolęd polskich, przy stole wigilijnym, łamiąc się z najbliższymi opłatkiem.

Po raz drugi już od wybuchu wojny nadchodzące Święta Bożego Narodzenia, jak Polska długa i szeroka, będą obchodzone w smutku i żałobie, o głodzie i chłodzie. Na twarzach Rodziców naszych braci i sióstr, naszych dzieci—nie będzie uśmiechu, lecz w rozmodlonych oczach twarde postanowienie oporu przeciw najeźdźcy i wiara głęboka w odrodzenie Ojczyzny.

My Polacy, w służbie Rzeczypospolitej, poza jej granicami, obchodzić będziemy Święta Bożego Narodzenia z myślą o Polsce—tak bardzo doświadczonej, z taką samą wiarą w jej wolną i wielką przyszłość, o którą walczymy i walczyć będziemy nieugięcie, aż do ostatecznego zwycięstwa.

Gdziekolwiek jesteście, Żołnierze Rzeczypospolitej, w dniu wigilijnym jestem blisko Was, składam Wam moje z głębi serca płynące życzenia wigilijne, łamiąc się z Wami opłatkiem.

Te życzenia żołnierskie zaczynam od Naczelnego Wodza Generała Władysława SIKORSKIEGO.

Generał Władysław Sikorski, jeden z najwybitniejszych dowódców wielkiej wojny poprzedniej, wsławiony jako zwycięski dowódca V-ej Armii w wojnie z bolszewikami, po wojnie Prezes Rady Ministrów, Minister Spraw Wojskowych i Szef Sztabu Generalnego, szeroko znany w Kraju i poza granicami Polski, jako wybitny pisarz i strateg nieustannie i w ciężkim trudzie pracował dla przyszłości Rzeczypospolitej.

Generał Władysław Sikorski od jesieni 1939 r. jest Waszym Naczelnym Wodzem. Prowadzi on Was doświadczoną, silną i życzliwą ręką do zwycięstw, które okryły Armię Polską chwałą na polach Francji i Norwegii, w przestworzach powietrznych nad Anglią, naszą bohaterską Sojuszniczką, i nad krajami wroga, na morzach, z których wojenna bandera Polski ani na chwilę usunąć się nie pozwoliła.

Przywołując Waszej pamięci czyny i trudy Naczelnego Wodza, oznajmiam Wam Żołnierze, że mianowałem w dniu dzisiejszym Generała Dywizji Władysława Sikorskiego, Generałem Broni, który to stopień generalski już dawno mu się należał.

Żołnierze! niech z piersi Waszych tchnących niezachwianą wiarą w co raz bliższe zwyciestwo i powrót w chwale rycerskiej do Polski, rozbrzmi po świecie razem z pieśnią wzniesioną ku Bogu w tę Noc Wigilijną okrzyk:

NAJJAŚNIEJSZA RZECZPOSPOLITA POLSKA NIECH ŻYJE!

24.XII.1940. **(—) WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ**

WIEDZA DOJRZAŁOŚCI

Rok temu, ożywiały nas rozliczne nadzieje. Były tam i złudzenia, albowiem złudzenia stanowią konieczny składnik ludzkich poczynań. Wierzyliśmy w narody, które załamały się w ogniu próby, ufaliśmy, że po roku zmagań wykrystalizuje się lepiej obraz świata a Rzesza niemiecka, autor tej wojny, stanie wobec sytuacji, jeżeli już nie groźnej to w każdym razie niemiłej.

Wiele nadziei odpadło, wiele złudzeń ulotniło się. Po roku wojny czujemy się bardziej dojrzali, aniżeli po długich latach pokoju: widzimy wyraźniej sprężyny ludzkiej słabości, rozumiemy lepiej ludzką małość, zdajemy sobie lepiej sprawę jak olbrzymim wysiłkiem musi być nie tylko ta wojna, ale także i pokój, który nie może być czymś automatycznym, przypadkowym.



Odpadła z naszego myślenia wygoda, zbyt łatwy optymizm, nadmierne zaufanie do czynników natury gospodarczej, do liczenia na względy finansowe. Rozumiemy dzisiaj, że systemy, które przyjęły miano demokratycznych, nie były wolne od zarazków i zakażeń daleko sięgających. Wiemy dzisiaj lepiej, niż przed rokiem, że materialny dobrobyt nie zawsze jest pożywką dla najlepszych, dla bohaterskich odruchów ludzkiej natury i że demokracja zgrzeszyła wielce pominięciem znaczenia czynników idealnych. Zdajemy sobie dzisiaj sprawę, że trzeba znaleść dla tych idealnych odruchów natury ludzkiej potężne ujścia i że hasła pomyślności gospodarczej nie wyczerpują tęsknot człowieka. Jeżeli nie skieruje się tych pragnień we właściwe koryta, zwichrzą się one, pójdą naprzełaj wszelkiemu ludzkiemu ładowi, rozbiją wszelkie mozolnie tworzone budowle, systemy, tamy.

Rozumiemy już dzisiaj braki, pomyłki, krótkowzroczności przedwojennego ustroju życia. Tak być musi: bez poznania własnej winy, bez doszukania się dna własnego grzechu, nie ma drogi poprawy, nie ma sposobu odrodzenia się i odnowienia. Wiemy już dzisiaj, że ogień wojny jaki spadł na Europę jest ogniem, który oczyszcza, który wytrawia, który stanowi próbę szlachetności metalu. Jest to okrutna próba, ale niestety ludzkość nie potrafiła wymyśleć w biegu swoich dziejów innej próby prócz tej właśnie: wojny, która każe umierać za to dla czego, zdaniem naszym, żyć warto.

Albowiem nie ma w tym świecie wartości raz na zawsze zdobytych, kotwic raz na zawsze zarzuconych, portów bezpiecznych od burz. Wszystkich wartości trzeba bronić wysiłkiem woli, chęcią ofiary, energią, a czasem przemocą. Może się to nie podobać pięknoduchom, ale nie ma innego przepisu na to w dekalogu przyrody, w tablicach życia. Wszystkie wartości żyją i trwają tak długo, jak istnieje żywa wiara, która je trzyma, jak długo istnieją ludzie, którzy gotowi są ponieść ofiary dla sprawy.

Dzisiaj wiemy to wszystko. Rozumiemy, że swobody, jakie istniały w ludzkich społecznościach, nie były czymś naturalnym oczywistym, koniecznym: były to rzeczy wywalczone energią i potem ludzi, bojami stuleci, zapałem wiary. Ludzkość *może popaść* w barbarzyństwo, w najciemniejsze zaułki instynktów, jeżeli nie znajdą się siły, które podtrzymają wiarę w inne wartości człowieka.

Walczymy dzisiaj o to, ażeby nie dopuścić do tego cofnięcia się, które wydaje nam się czymś prawie niemożliwym, ale które zachodziło i *wydarzało się* już nieraz w dziejach Europy—gdy zabrakło sił żywych, które by zatamowały pochód barbarii. Bronimy dzisiaj tych rzeczy, które są na pozór oczywiste, ale które są wynikiem walki, zapału, entuzjazmu naszych ojców i naszych poprzedników. Wiemy, że nie wszystkie walory będą zachowane: jest wiele takich, które obumarły, które spełniły swoją rolę, wyczerpały się. Są takie, które przyjąć trzeba będzie, rozbudować, opanować, nie wstydząc się niczego.

Wiemy już dzisiaj, że z budowy Europy wersalskiej zostały gruzy i że trzeba będzie postawić wszystko od nowa. Musimy już teraz planować przyszłość, musimy już teraz przeciwstawić fanatyzmowi faszyzmów mocną wiarę ludzi wolnych, wiarę, albowiem ludzkość musi wierzyć, musi mieć jakieś zamiary, jakąś wizję lepszego jutra. Narody wolne muszą wytworzyć jak najszybciej takie hasła, które powalą plany "nowego ładu" Hitlera. Musimy zabrać się do pokonania wroga nie tylko w sferze materialnej, ale i w dziedzinie idei, myśli.

Są to olbrzymie zadania. Większe i trudniejsze, aniżeli myśleliśmy rok temu, kiedy istniały jeszcze na kontynencie Europy siły zdawało by się żywe, niezawodne. Wiedza nasza jest dzisiaj gorzka, ale wiara nasza tym bardziej uparta.

Wierzymy, że Europa przeorana pługiem niemieckiej buty i przemocy wyda ziarna nie tylko spokojnej, męskiej nienawiści do sił przemocy, ale przede wszystkim poczucia wspólnoty losu, jedności naszego losu. Porzucimy może nareszcie egoizm, który okazał się najgorszą polityką, złudzenia neutralności, chęć wygodnego życia na uboczu. Wolność, o którą walczymy nie będzie przypominała spokojnego *laissez faire*: jak powiedziano kiedyś prawdziwa wolność to odpowiedzialność i dlatego tylu ludzi się jej obawia. Wolność nowej Europy musi być z tego właśnie rodzaju—a wojna ta nauczyć nas powinna braku lęku przed tego rodzaju wolnością.

Antoni Jawnuta



CHLEB I UŚMIECH

Przyszliśmy tu znękani niewiarą, zatruci klęską; uciekinierzy powtórni. Stłoczeni na małych stateczkach towarowych, na węglarkach—opuszczaliśmy Francję smutniejsi, niż wtedy, gdyśmy jechali z Polski, aby walczyć dalej, bo wtedy porzucaliśmy kraj z niezachwianą wiarą w ostateczne zwycięstwo, pewni krótkotrwałości naszego wygnania.

Gdy brzegi francuskie ginęły nam z oczu, zasnuwały się jednocześnie mgłą troski i zwątpienia nadzieje nasze i wiara nasza. Oglądaliśmy własnymi oczami wielki straszliwy pochód zniszczenia. Wszędzie gdzie zło i nienawiść, okrucieństwo i podłość spotykały się ze sprawą dobrą—zwycięstwo było po stronie zła. Padały w gruzach nie tylko nasze domy rodzinne, padała wiara w ludzkość. Wszystko co było dla nas święte i drogie stało się przedmiotem pogardy i prześladowania. Co raz śmielej zaczęli głowy podnosić ci, którzy od dawna sprzymierzyli się z podłością, ci, którzy ukochali przemoc ponad wszystko, ci, którzy chcieli widzieć Polskę po stronie zwycięskiego zła, Polskę wasala powolnego i chętnego w służbie zalewającej świat ciemności.

Patrzyliśmy pełni rozpaczy jak niepowstrzymana fala nienawiści zalewa Europę. Każdy dzień przynosił nowy triumf wrogom naszym. Patrzyliśmy na pohańbienie godności ludzkiej, na gruzy pomników, na dymy palących się bibliotek i tylko nieliczni potrafili zachować resztkę tlejącej się wiary w prawa człowieka. Potęga zła wydawała się niezwyciężoną.

Przyjechaliśmy tu do Anglii żołnierze zwyciężeni, pisarze złamani niewiarą i goryczą. Skłóceni i nieufni, ale wciąż jeszcze spragnieni dalszej, choćby beznadziejnej walki.

Spotkaliśmy tu na ziemi angielskiej gościnność serdeczną, pomoc i opiekę. Pierwszy robotnik portowy z uśmiechem ufnym podał nam swój chleb. I szedł przed nami wszędzie ten uśmiech angielski i dobroć codzienna, wstydliwa i skromna. Dobroć ludzi silnych. Głęboko nabraliśmy w płuca powietrza czystego, niezatrutego rozkładem słabości i nienawiści. Poznaliśmy na tej wyspie panującej nad morzami całego globu—prawo inne od prawa ziemi. Prawo morza, zatrzymujące wielkie okręty na szlakach dalekich, niosące pomoc każdemu walczącemu z żywiołem, każdemu wołającemu pomocy. Podnieśliśmy ośmielone oczy, aby z rosnącą ufnością ścigać płynące po chmurnym niebie zwycięskie samoloty angielskie.

Dała nam Anglia nie tylko chleb i uśmiech, ale dała nam poczucie siły i słuszności naszej wspólnej sprawy. Ośmieliła nasze nadzieje, przywróconym do życia przypomniała prawdy, o których niejeden z nas już zwątpił. Że można być silnym i niezłomnym bez nienawiści, że można walczyć ofiarnie, nie wyrzekając się wolności, że prawdziwa miłość ojczyzny nie przemawia językiem wrzaskliwym. Znaleźliśmy się w kraju wolności słowa i sumienia, w kraju, gdzie prawda, choć by gorzka jest ujawniana, gdzie świadomość i wolna wola więcej dają siły, niż gdzie indziej przymus karności i ślepe posłuszeństwo.

Wielka emigracja polska, po roku trzydziestym, niosła do kraju hasła rewolucji francuskiej. Żołnierz polski wracał kiedyś do ojczyzny w mundurze napoleońskim, niosąc w tornistrze prawa człowieka i obywatela. Jak Piotr Olbromski innymi już patrzał oczami na niedolę własnej ziemi. Jeżeli los nam pozwoli, po wojnie zwycięskiej, kiedyś powrócić do kraju—nie zapomnimy Anglii i tego wszystkiego, co dała nam żołnierzom i wygnańcom.

Ślubujemy przynieść do Polski te zasady moralności i rzetelności, które kierują wielkim narodem angielskim. Tradycje polskie nie są sprzeczne ani dalekie od praw kierujących Wielką Brytanią. Polska była zawsze krajem wolności i tolerancji. Zaraza hitlerowska i niemoralność głęboka totalistycznych form ustrojowych obca była zawsze psychice ludu polskiego.

Nie lękajmy się, że naród nasz nie dorósł do prawdziwego demokratyzmu. Źle ocenia Polaków ten który, siłę ich i wielkość uzależnia od prawa przemocy i bezprawia rządów dyktatorskich. Nie lękajmy się zmian głęboko wnikających w strukturę naszego życia społecznego, bo prawdziwa miłość ojczyzny jednoznaczna jest z pragnieniem wiecznym doskonalenia obiektu naszych uczuć.

Nie oddamy Polski w ręce koniunkturalnych graczy politycznych, nie powierzymy jej losów ani drapieżnym sługom kapitału, ani ludziom ciemnym i krzywdzonym, nie oddamy jej ani zemście, ani nienawiści klasowej czy rasowej.

Stoimy przy boku Anglii w wojnie o przyszłość świata, w wojnie, która życie całych pokoleń pchnie w ciemność i okrucieństwo albo wybawi nas i Europę. Nie wstydźmy się tego uczucia wdzięczności, które przepełnia nam serca. Wdzięczności za chleb i uśmiech, wdzięczności za broń i za przywróconą na nowo wiarę w zwycięstwo.

Módlmy się aby nam dane było przynieść ojczyźnie ten chleb, uśmiech i tę broń sprawiedliwą.

Antoni Słonimski

Wymiana życzeń

DEPESZA MINISTRA LOTNICTWA BRYTYJSKIEGO ARCHIBALDA SINCLAIR'A DO NACZELNEGO WODZA

Generał Sikorski,

Od Brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa 20/12

Pragnę skorzystać z okazji kończącego się tego tak krytycznego i pamiętnego roku, aby podziękować Panu Generałowi za pomoc zbrojną, którą Pan wniósł do wspólnej sprawy oraz za wyczyny Pańskich lotników, którzy zdobyli podziw swych towarzyszy z Królewskich Sił Powietrznych.

Przebyliśmy wspólnie ten niebezpieczny okres, obecnie możemy wspólnie rozpocząć rok pełen nadziei i dobrej wróżby.

Przesyłam Panu Generałowi moje najlepsze życzenia na Boże Narodzenie i Rok Nowy.

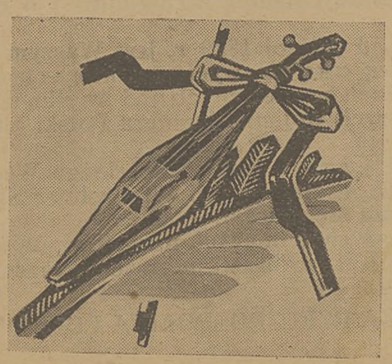
Archibald Sinclair

DEPESZA NACZELNEGO WODZA DO MINISTRA ARCHIBALDA SINCLAIR'A

Dziękuję Panu za życzenia i za pochwałę lotników polskich. Zapewniam Pana, że nie tylko nasze wojsko w Anglii, ale cały Naród Polski śledzi z uwagą i z podziwem działalność Royal Air Force i ma nadzieję, że działalność ta zbliży dzień zwycięstwa. Lotnicy polscy są dumni z tego, że mogą walczyć o pokój i sprawiedliwość wraz z najlejszym w świecie lotnictwem angielskim.

Przesyłam moje najserdeczniejsze życzenia na Boże Narodzenie i Nowy Rok.

Sikorski



rys. Tadeusz Lipski

ŻYCZENIA ZZA OCEANÓW

W Związku z Świętami Bożego Narodzenia z najdalszych skupisk polskich nadpłynęły do redakcji "Polski Walczącej" i do Zarządu Światowego Związku Polaków liczne listy z życzeniami dla żołnierzy Armii Polskiej w Anglii. Drukujemy kilka najbardziej charakterystycznych, kilka innych odkładając do następnego numeru.

Najukochańsza POLSKA WALCZĄCA—Żołnierz Polski na Obczyźnie, 23, Beaumont Street, London, W.1, pozwólcie upraszamy na wyrażenie nasze z Australii najgorętsze uznania i hołdy uwielbienia, z głębi serc naszych płynące, za WASZĄ waleczność w tylu bitwach z wrogiem Polski z przed wieków, WASZA tak mężnie przelana krew wszystkich Polaków w świecie napawa nie do wypowiedzenia wielką radością i niezłomną nadzieją w odzyskaniu nie tylko wolności, ale i o wiele większej-potężniejszej Ojczyzny, jak na odwrocie jest omawiane. WAŚI pokorni słudzy:

Z. W. Romaszkiewicz
Morningside, Brisbane,
Queensland, Australia.

* * *

Drodzy Rodacy Bohaterzy i Chlubo naszego Polskiego Imienia.

Na zew Światowego Związku Polaków z Zagranicy posyłamy Wam kilkanaście dolarów na gwiazdkę i życzymy Wam spełnienia Waszych życzeń, my się modlimy za Wami, abyście wytrwali i zwyciężyli, abyście okryli chwałą siebie i cały Naród Polski. Niechaj ta Wigilia i Święta, które spędzicie w trudzie i niewygodach w porównaniu, jakie mielibyście w domach u rodziców osłodzi Wam wiadomość, że wszędzie i we wszystkich kościołach będziemy się za Wami modlili. Szczęść Wam Boże. Cześć Wam po stokroć!

Panie które złożyły te datki proszą abyście napisali do nich coście dostali i czy który z was nie trafi na swoją Krajankę. A może jest kto z moich stron: Łąkta Górna, poczta Żegocina, powiat Bochnia, z domu Rosiek, ojciec był wójtem.

Franciszka Matras Komisarka Wydziału Kobiet w Związku Narodowym.

* * *

Drodzy Rodacy! Żołnierze!

My Weterani z Armii Polskiej zorganizowani w Placówkę No. 23 w Miasteczku Adams mając na sercu was drodzy Koledzy Żołnierze, którzy walczycie o wolność Naszej Ukochanej Ojczyzny, którą drapieżnik wróg zdeptał, naszą pracę siły i wytężenia, jakie poświęcaliśmy walkom o jej Wyzwolenie z kajdan niewoli—śpieszemy do was, ażeby się z wami podzielić i stać przy was duchem, ażeby wasz hart żołnierski pomścił te krzywdy, które wyrządzili Niemieckie zbóje Narodowi Polskiemu. Zbliżają się święta, które my Polacy tak mile obchodziliśmy, święta Narodzenia Chrystusa Pana, więc ażeby wam te chwile uszczęśliwić Drodzy Koledzy Żołnierze wy, co na obcej ziemi stoicie w obliczu śmiertelnej walki, składamy wam życzenia, ażeby ten nowo Narodzony Jezus Chrystus dodał wam siły do zwycięstwa, ażebyście mogli stanąć jak najprędzej na ziemi Ojczystej w Polsce. Z dumą zwrócone są nasze oczy na wasze bohaterskie wysiłki i sława wasza przeszła po całej kuli ziemskiej i przejdzie do wielkiego zwycięstwa. Ażeby się podzielić z wami tym, co nam jest najbliższe łamiemy się z wami opłatkiem i stoimy z wami razem w tej ciężkiej chwili idzie z wami cały kraj Ameryka a zwycięstwo nad wrogami naszymi oczyści naszą Ukochaną Ojczyznę Polskę, bo Armia Polska jest nigdy nie zwyciężona. Niech żyje Polska! Niech żyje Armia Polska i jej Wodzowie.

Wesołych Świąt Koledzy Żołnierze!

Wesołych Świąt Koledzy Żołnierze!

Jako mały upominek na gwiazdkę zasyłamy wam $ 67.85.

Komitet placówki 23 Weteranów z Armii Polskiej w Adams, Mass.

* * *

Drodzy Nasi Obrońcy!

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia, dzieląc się opłatkiem, tu na obcej ziemi, która jest dla nas przybraną matką, przenosimy się myślami i sercem do Was. I w Duchu życzymy wam zdrowia i wytrwałości w waszych zamiarach i dążeniach.

Jesteśmy Narodem dumnym ze swego pochodzenia i wierzymy mocno, że nadejdzie chwila radosna dla nas wszystkich. Że gwiazda Betlejemska zajaśnieje nam i dobro weźmie przewagę nad złem.

Że za wasze bohaterstwo i poświęcenie dla Ojczyzny nie przejdzie na marne. . . Że nadejdzie dzień porachunku i zobaczymy Polskę ukochaną Wolną.

Drodzy Bohaterzy Podhalanie! prosimy pamiętać, że każdej chwili jesteśmy z Wami i Wasze losy są nasze, i Wasze troski my dzielimy z Wami i odczuwamy.

Wysyłamy Wam na "gwiazdkę" mały podarek ze szczerego Polskiego serca.

Niech Żyje Armia Polska! Niech Żyje Wódz Naczelny gen. W. Sikorski!

Sekcja Pań, Czerwony Krzyż Montreal, Canada, 628, Bourgeois Str.

Nauka dwu wojen

Niedawno minęła jedna z wielu rocznic, o której mniej się pamięta, niż o innych, mimo, iż zawiera ona bardzo pouczający, pokrzepiający i wysoce aktualny morał.

Był zimny, dżdżysty poranek 10 listopada 1918 roku. Kilka samochodów podjeżdża do granicy holenderskiej. Wysiada z nich grupka oficerów niemieckich, a wśród nich jeden starszy, małego wzrostu o sztywnej postawie i nerwowych ruchach. Podniesiony kołnierz zasłania mu twarz, sterczą tylko wąsy, te znane wąsy, najeżone, jak szpice pikelhauby. Tyle lat stroszyły się przeciw pokojowi Europy. Nazywano je: *"Es ist erreicht"* (Dopięliśmy swego)—symbol cesarstwa Hohenzollernów. Posiadacz ich kręci się niespokojnie. Ziemia ojczysta pali mu się pod stopami. Kiedy nareszcie podniosą ten szlaban?

Nietrudno się domyśleć, kim był ten starszy pan. Ex-kajzer, zbieg i dezerter rozbitej armii, puka do bram Holandii, prosząc o schronienie. Otrzymał je na zamku Amerongen u swego przyjaciela hrabiego Bentincka.

"Was sagen sie zu dieser Schweinerei?" (Co Pan powie na to świństwo). Takie były jego pierwsze słowa na powitanie hrabiego Bentincka. Dotychczas niewiadomo, co Wilhelm II miał na myśli: zwycięstwo armii alianckiej, wybuch rewolucji w Niemczech, warunki zawieszenia broni, czy swoją wymuszoną abdykację? Sądzić należy, że wszystko razem. U haniebnego kresu swej wędrówki na podbój świata tylko tyle miał do powiedzenia. Zachował się, jak wygwizdany aktor, przeklinający niewdzięczną publiczność.

Istotnie, *"Schweinerei"* była bezprzykładna. Krótko przedtym był on mocarzem na olbrzymich przestrzeniach. Wojska jego osiągnęły wspaniałe zwycięstwa. Rozgromił potęgę caratu. Większa część Europy była mu posłuszna i nie tylko Europy. Od Amiens do Rostowa, od Rygi do zatoki perskiej odnosił triumfy orężne. Jego łodzie podwodne zatopiły dużo milionów ton nieprzyjacielskich. Anglii groził głód. I nagle to wszystko pękło, rozsypało się, jak domek z kart. Wielka machina wojenna zamieniła się w kupę gruzów. *"Herrenvolk"* zmykał w popłochu z okupowanych krajów. Szarańcza niemiecka, która obsiadła je i tuczyła się na nich wiała z powrotem, wszystkimi drogami, od wschodu i zachodu, południa i północy, do *"Vaterlandu."* Dumni wodzowie dawali jej przykład. Beseler chyłkiem, w nocy, ulotnił się z Warszawy. Wyrostki uliczne rozbrajały generałów niemieckich.

Zwycięzcy okazali się niekonsekwentni i krótkowzroczni. Zapomnieli, że jedynym argumentem, przemawiającym do Niemiec, jest siła namacalna, prosta, bezwzględna, ta sama siła, jaką Niemcy zawsze stosowały do podbitych narodów. Wbrew radom swego naczelnego dowództwa, nie wkroczyli do Berlina. Zmarnowali owoce zwycięstwa.

Po winie nie nastąpiła kara. Najgłośniej domagano się jej w Anglii. Lloyd George prowadził pierwszą powojenną kampanię wyborczą pod hasłem powieszenia Kajzera. Inni Anglicy szukali dla niego wyspy na morzach południowych. Wszyscy żądali sądu i skazania. Dalszy ciąg jest znany.

* * *

Cofnijmy się jeszcze o kilka lat wstecz. Gorące dni lipcowe 1914 r. Nadciąga burza wojenna. Mord w Serajewie. Ultimatum Austro-Węgier. Bezowocne wysiłki dyplomacji zachodnioeuropejskiej, by zażegnać katastrofę. Kilka tygodni trwa dramatyczne napięcie. Mobilizacja. Anglia się waha. Wreszcie wtargnięcie Niemiec do Belgii decyduje o jej przystąpieniu do wojny. Ale tamte Niemcy były wzorem cnót rycerskich w porównaniu z Trzecią Rzeszą. Bethmann Hollweg był idealnym gentlemanem wobec gangsterów Hitlera. Usprawiedliwiał się on i tłomaczył, dlaczego Niemcy musiały pogwałcić prawo międzynarodowe. Byłem świadkiem sceny, gdy Wilhelm II przemawiał do tłumów z balkonu pałacu królewskiego. Wyciągnął szablę i ślubował, że nie włoży jej do pochwy, dopóki wrogowie nie zostaną pobici, ale nie ryczał, nie pienił się, nie złorzeczył, jak Führer. Brutalne w polityce, zaborcze w swym imperjaliźmie cesarstwo Hohenzollernów uznawało jednak pewne zasady i normy, obowiązujące w stosunkach pomiędzy cywilizowanymi narodami. Reprezentowało zdobycze nauki, pewien poziom urządzeń społecznych. Życie wewnętrzne Niemiec było rajem wolności w porównaniu z systemem obecnym, który Hitler chce narzucić całej Europie, całemu światu. Nie była to steroryzowana trzoda, szerząca masowy mord i zniszczenie w imię obłędnej doktryny "wyższości rasowej."

Nie zapominajmy również, że w tamtej wojnie linia demarkacyjna pomiędzy dobrem i złem nie była tak rażąca. Alianci sprzymierzeni byli z reakcyjną, absolutystyczną Rosją, krajem ucisku i niewoli narodów. Niemcy odegrały wbrew swej woli rolę burzyciela tej potęgi na wschodzie Europy. Miliony ludzi, spragnionych wolności, życzyło im zwycięstwa na wschodnim froncie jednocześnie z klęską na zachodnim. I tak się właśnie stało.

Czy dziś poza bandą skorumpowanych polityków, szpiegów i innych agentów "piątej kolumny" są w jakimś kraju ludzie uczciwi i miłujący wolność, którzy pragnęliby zwycięstwa Niemiec i ich wasalów? Wydaje się to zupełnym absurdem.

Były więc podczas tamtej wojny nie tylko czynniki siły fizycznej, nie tylko sukcesy na polu walk, lecz i pewne momenty natury moralnej, które sprzyjały ówczesnym mocarstwom centralnym, posiadającym tak dzielnych i walecznych sprzymierzeńców, jak Turcja i Bułgaria. A jednak załamały się one nagle i znalazły swój kres w druzgocącej katastrofie.

* * *

Powierzchowne podobieństwa są często źródłem fatalnych błędów. Wystrzegajmy się ich tak samo, jak i tego, co Anglicy nazywają *"wishful thinking,"* naginania myśli naszych do życzeń. Nie mniej prawdą jest, że historia się powtarza, aczkolwiek w odmiennych okolicznościach i sytuacjach.

Gdybyśmy zechcieli doszukiwać się pewnych podobieństw pomiędzy chwilą obecną a jesienią r. 1918, nie zabrakło by nam wdzięcznego materiału. Oczywiście, są wielkie i istotne różnice w układzie sił. Francja uległa, rażona paraliżem wewnętrznym. Włochy i Japonia sprzymierzyły się z Hitlerem. Holandia, Dania, Norwegia są okupowane. Ameryka jeszcze nie przystąpiła do wojny. Hiszpania związana jest z "osią."

Są to pasywa w bilansie chwili, lecz nie zapominajmy o aktywach i to bardzo poważnych. Pomoc Ameryki rośnie z dnia na dzień i jest co raz skuteczniejsza. Wybór Roosevelta świadczy najdobitniej, że olbrzymia większość jej opinii widzi nie tylko zbawienie Europy, lecz i swe własne bezpieczeństwo w klęsce hitleryzmu i faszyzmu. Imperium brytyjskie posiada niewyczerpane zasoby materialne i moralne, pozwalające prowadzić wojnę przez długie lata. Nie ulega wątpliwości, że w wyścigu zbrojeniowym, a przede wszystkim w produkcji samolotów Anglia przy pomocy Ameryki zdystansuje Niemcy. Wtedy będzie ona panować nie tylko na morzach, lecz i w powietrzu.

Ten rozwój wypadków nie obejdzie się bez nowych wielkich ofiar, ale widzieliśmy już, że ani bomby niemieckie, ani ich łodzie podwodne nie są w stanie osłabić wysiłku wojennego Anglii, jej woli walki aż do zwycięstwa. Bohaterstwo, z jakim ludność Anglii znosi ciężkie, krwawe brzemię wojny, wzbudziło podziw całego świata.

Rekordy bojowe *Royal Air Force* w obronie Anglii i w ataku na Niemcy przejdą do historii. Piękną kartę w tych walkach zdobyło sobie lotnictwo polskie. Flota brytyjska, z którą razem walczy niewielka, ale dzielna marynarka polska, kontynuuje sławne tradycje niezwyciężonej potęgi morskiej Albionu. Anglia nigdy nie posiadała tak licznej i doskonale wyposażonej w sprzęt techniczny armii lądowej jak dzisiaj i nigdy całe społeczeństwo nie było tak zmobilizowane we wszelkich dziedzinach pracy dla celów wojennych.

Wszystko to budzi nadzieje, że Niemcy spotka taki sam los, jak w r. 1918. Nie zapominajmy również o tym, że sukcesy swe zawdzięczają one *"Blitzkrieg'owi"* i "piątej kolumnie," co bynajmniej nie gwarantuje ich trwałości. Im dłużej przeciąga się wojna, tym bardziej szale zwycięstwa przechylają się na rzecz W. Brytanii i jej sprzymierzeńców.

Opinia historyków wojskowych jest jednomyślna, że Niemcy przegrały tamtą wojnę już we wrześniu r. 1914—po bitwie nad Marną. Nie pomogły im zwycięstwa na Wschodzie i Bałkanach. Taką "bitwą nad Marną" była w tej wojnie odparta z wielkimi stratami ich ofensywa powietrzna w sierpniu i wrześniu tego roku, która miała być wstępem do inwazji. Jest wiele znaków na ziemi i na niebie, że sukcesy Hitlera, raczej dyplomatyczne, niż czysto wojenne, doszły do punktu nasycenia w podbojach i inwazjach.

Jego partner Mussolini otrzymuje poważne cięgi od małej Grecji, które są najlepszym dowodem, że jeśli obu gangsterom nie udaje się szantażem i terrorem rozsadzić narodów od wewnątrz, jeśli nie natrafiają na grunt podatny dla propagandy nazizmu i faszyzmu, nawet słabe państwa zdolne są do zaciętego oporu. Sytuacja na Bliskim Wschodzie przedstawia się dziś o tyle korzystniej dla Anglii, niż przed kilku miesiącami. Jeszcze kilka takich zwycięstw morskich W. Brytanii, jak pod Taranto i Sardynią, a flota Mussoliniego zostanie unieszkodliwiona i ten sojusznik będzie większym ciężarem, niż pomocą dla Niemiec, tym bardziej, że jego czarne kohorty nie grzeszą zapałem bojowym.

W Rumunii krwawy chaos. Jugosławia i Bułgaria, pokrzepione przykładem Grecji nie zdradzają chęci poświęcenia swej niepodległości na komendę Berlina i Rzymu. Turcja ze swą waleczną armią stoi na przeszkodzie inwazji Niemiec do Azji Mniejszej, nawet gdyby potrafiły one opanować Bałkany. Trzeci wielki partner "osi" Japonia ma dość kłopotów w Chinach, by pomagać jej czymkolwiek w Europie.

A Sowiety? Przy całej ich nienawiści dla demokracyj zachodnich, przy całej przewrotności i cyniźmie ich polityki trudno przypuścić, by naprawdę, wbrew swym własnym interesom, pragnęły one dopomóc Hitlerowi do zaprowadzenia "nowego ładu" w Europie, rozumiejąc dobrze, że nie zaspokoi to jego apetytów panowania nad światem, i że później przyjdzie kolej na nich. Z chwilą, gdy ustanie strach Sowietów przed Hitlerem, będą one najbardziej skłonne do zadania swemu niedawnemu śmiertelnemu wrogowi ciosu z tyłu, w czym się doskonale wyspecjalizowały.

* * *

Tak czy inaczej, każdy miesiąc przeciągania się wojny bez nowych sukcesów Hitlera i Mussoliniego zwiększa szanse zwycięstwa Anglii i jej sojuszników. Trzy atuty, jakie Hitler ma jeszcze do rozegrania, by przyśpieszyć koniec wojny, zwycięskiej dla Niemiec, to wzmożenie wojny morskiej przy pomocy floty francuskiej, nowa próba inwazji Anglii, wreszcie wciągnięcie do współpracy "pokojowej" wszystkich narodów europejskich pod przewodem Trzeciej Rzeszy.

Jeśli chodzi o atut pierwszy, gdyby nawet udało się zagarnąć resztki siły Francji, pozostałe po załamaniu się, Anglia potrafi je w porę unieszkodliwić, jak to już miało miejsce pod Oranem i Dakarem.

Próba inwazji Anglii jest, oczywiście w zasadzie możliwa, aczkolwiek mało prawdobodobna, ale można przyjąć za pewnik, że na tym Niemcy połamią sobie kości.

Co się tyczy trzeciego atutu, jest to ponura utopia, w którą wierzyć mogą tylko ogłupiałe masy Nazich, że narody Europy, które na przestrzeni wieków tworzyły skarby swej kultury i wywalczyły niepodległy byt państwowy, pójdą dobrowolnie w niewolę największej, najbardziej barbarzyńskiej tyranii, jaką zna historia.

Do jakich bram zapuka Hitler, gdy spełnią się wyroki sprawiedliwości, ścigające nieodwołalnie tyranów i ciemięzców? Najodpowiedniejsze w tym wypadku byłyby bramy piekła dantejskiego z Mussolinim, jako doskonałym przewodnikiem. Ale jest to sprawa drugorzędna. W wojnie tej ludzkość krwawi się o cele stokroć donioślejsze, o doszczętne wytępienie tych pierwiastków zła, które znalazły pełny wyraz w polityce Prus już w wieku XVII-ym, a Niemiec od chwili ich zjednoczenia: bałwochwalstwa siły, wiarołomstwa, nienasyconej żądzy panowania.

Trzecia Rzesza wniosła do tego nowe elementy: doktrynę nienawiści rasowej, okrutne metody znęcania się nad słabymi i bezbronnymi, totalizm nowoczesnych jaskiniowców. Zdarła ona ostatecznie maskę z tak zwanej "kultury" niemieckiej.

Prawdziwe zwycięstwo w tej wojnie nastąpi dopiero wówczas, gdy państwa zwycięskie nie powtórzą żadnego z tych błędów, jakie popełniły po r. 1918 i jeśli zaraza hitleryzmu, faszyzmu i wszelkiego rodzaju totalizmów, która szerzy się w różnych postaciach i w innych krajach, starta zostanie raz na zawsze z oblicza ziemi.

Nigdy jeszcze piękne hasło legionów Dąbrowskiego "za naszą i waszą wolność," w którego imię walczą dziś na tej wyspie lotnik, marynarz i żołnierz polski nie miało w sobie treści tak głębokiej i promienistej.

Florian Sokołów

OJCZYZNA SZOPENA

Cóż to była za dziwna, romantyczna Pani,
Wszyscy się w niej kochali, umierali dla niej.
Wszyscy cierpieli za nią najdotkliwsze krzywdy,
Nawet ci, co jej oczu nie widzieli nigdy.

Z jej imieniem na ustach w Hiszpanii konali,
Marząc na złotych skałach o Mazowsza polach;
Dla niej się w czarnych płaszczach podróżnych zjeżdżali
Do fosforycznych portów Konstantynopola.

Za nią tęsknili długo po nocach i rankach
Na dalekim Zachodzie w Ameryki preriach,
I pieśni o niej snuli i o jej kochankach,
Zatraconych, zawianych śniegiem na Syberiach.

Mówią im obcy ludzie:—poco cierpieć dla niej,—
Tłomaczą:—że nie warto, że jak gwiazda pierzcha,—
Ale oni nie słyszą, na śmierć zakochani,
I dalej za nią gonią po lądach, po zmierzchach.

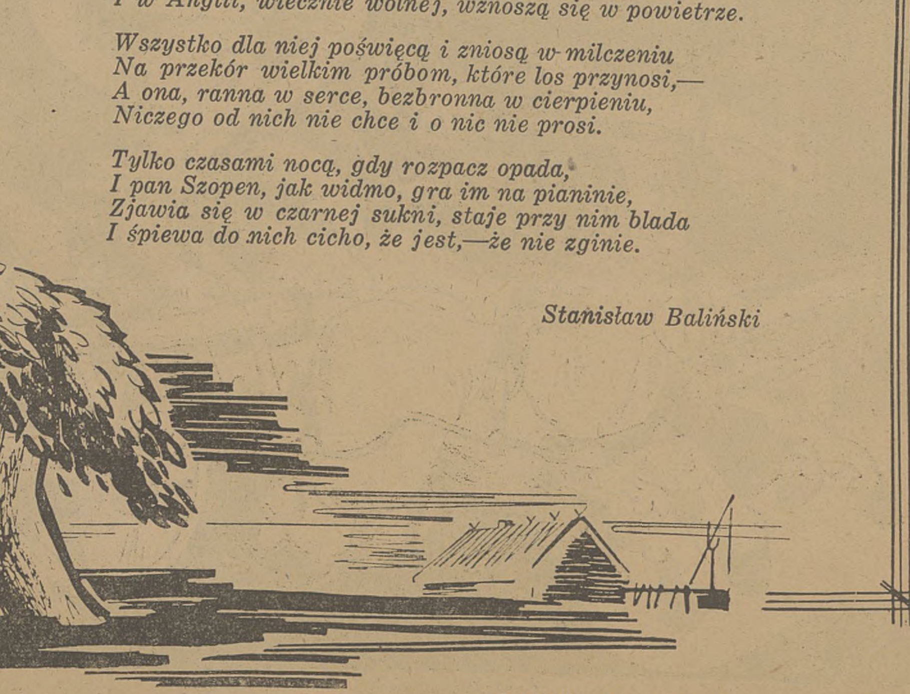
I dalej znoszą dla niej pod niebem nieszczęścia,
Śmiertelny chłód wygnania na mongolskich mrozach,
I w nowe idą piekło, zaciskając pięści,
Na dno upodleń ludzkich w niemieckich obozach.

I dalej o nią walczą na Norwegii śniegach,
I na piaskach Egiptu w rozpalonym wietrze,—
Umierają samotnie w galijskich szeregach,
I w Anglii, wiecznie wolnej, wznoszą się w powietrze.

Wszystko dla niej poświęcą i zniosą w milczeniu
Na przekór wielkim próbom, które los przynosi,—
A ona, ranna w serce, bezbronna w cierpieniu,
Niczego od nich nie chce i o nic nie prosi.

Tylko czasami nocą, gdy rozpacz opada,
I pan Szopen, jak widmo, gra im na pianinie,
Zjawia się w czarnej sukni, staje przy nim blada
I śpiewa do nich cicho, że jest,—że nie zginie.

Stanisław Baliński



zdobił Stefan Osiecki

Broń szeptana

W ostatniej części swojej "Giełdy Forsythów" John Galsworthy świetnie podchwytuje atmosferę wśród społeczeństwa angielskiego za tamtej wojny światowej—atmosferę plotek i podejrzeń nadmiernych i nie zawsze usprawiedliwionych. Szkoda, że dzisiejsza literatura polska nie rozporządza piórem podobnym Galsworthy' emu i szkoda, że tego pióra nie ma teraz tam, w Polsce, gdzie plotka aż prosi się o uwiecznienie.

Plotka—wieść krążąca tylko wśród "najlepszych przyjaciół," zawsze oparta na zupełnie "pewnym źródle," była zawsze ważną pozycją w życiu ludzkim. Goebbels uczynił z niej broń do łamania ducha wśród narodów zwalczanych i podbitych, gdzie służyć ma ona do tworzenia gwałtownych rozczarowań, podrywania zaufania i tym podobnych uczuć—tak znakomicie wpływających na upadek ducha społeczeństwa.

Poza tym plotka jest na ogół wyrazem t. zw. pobożnych życzeń. Kwitnie ona najbujniej w społeczeństwach, pozbawionych mechanicznie wieści z interesującego je świata, lub w społeczeństwach, które wiedzą, że są okłamywane. Tam, gdzie prawda nie jest zakazana rozwija się słabo, bo może być bardzo łatwo sprawdzona. Dlatego w Anglii nie spotykamy jej wiele, dlatego w Polsce wojennej jest ona naturalnym uzupełnieniem ciężkiego życia.

To, że jest ona chlebem powszednim naszych rodaków i to, że jest jednym z rozlicznych gatunków broni tej wojny—skłonić nas winno do zajęcia się nieco plotkami, które kursowały po Polsce w ostatnim roku.

Dobrze pamiętamy te wieści, krążące między ludem, o głodzie w Niemczech, o ogonkach samochodów, stojących po szosach bez benzyny, o słabości armii Trzeciej Rzeszy. Z jaką naiwną radością witaliśmy wiadomość, że w czasie sprawy Zaolzia oddziały naszej kawalerii zniosły pod Boguminem dwa pułki piechoty niemieckiej, chcące zająć ten węzeł kolejowy.

Wieści te gruntowały w nas wiarę w siłę naszej armii i lekceważenie armii niemieckiej. Jak źle lekceważyć przeciwnika—sami przekonaliśmy się dokładnie. A Goebbels zacierał ręce z uciechy —zbyt gwałtowne rozczarowanie spowodowało strach, panikę i gwałtowną reakcję ujemną na wszystko, co polskie. Wielu ludzi załamało się właśnie w momencie gwałtownego obudzenia z przykrych złudzeń,

Plotka odegrała swą rolę we "wrześniu." Po przystąpieniu Francji do wojny, gruchnęła wiadomość o przerwaniu w 11-u miejscach Linii Zygfryda, by spowodować nową falę pogardy dla siły Niemców, którzy tymczasem dochodzili do stolicy. Do najczęstszych wrześniowych plotek należały wiadomości o zajęciu przez Francuzów ogromnych obszarów Niemiec.

Oddziały płk. Leona Koca trzymały się aż do 2 października, właśnie na skutek wieści, że linia obrony przeciwko Francuzom organizuje się na wysokości Lipska. . . . W oblężonej Warszawie plotka urosła do godności informacji pewnej i głoszono codziennie ze szpalt dzienników o desantach angielskich w Gdyni i Gdańsku, o bolszewickich wojskach, które wkraczają nam na pomoc. . . . Bolesna, bardziej bolesna była prawda po takich plotkach.

Główną rolę w tworzeniu się plotek odegrało radio niemieckie, podające kłamliwe wiadomości. 17-go września rano nadało wiadomość, że samoloty niemieckie w barwach polskich zbombardowały Kijów i dlatego bolszewicy idą nam na pomoc. 15-go września pod Włodawą wiele osób widziało młodego człowieka, jadącego w stronę Warszawy na wozie, który na głos idącym obwieszczał, że właśnie przed chwilą do wojny przeciw Niemcom przystąpiły Litwa, Łotwa, Rumunia i . . . Stany Zjednoczone, że armia niemiecka cofa się w popłochu. Ten młody człowiek w lutym 1940 r. okazał się ajentem Gestapo. Tak się tworzyły plotki, w które strapiony człowiek chciał wierzyć, pragnąc mieć choć krótkie chwile złudnej radości.

Orgia plotek rozpoczeła się w Warszawie po wejściu Niemców, gdy zabrano radia, gdy jedynym informatorem była prasa niemiecka. Prawdziwe wieści docierały niełatwo—plotka hasała swobodnie. Plotek krążyło tysiące i setki—były wśród nich płotki, a były i grube ryby—całe nowele o bogatej treści. Warto dla pamięci i nauki zanotować ważniejsze z jesieni i zimy pierwszego roku niewoli.

Pierwszy rodzaj tyczył Generała Sikorskiego i był obliczony na poderwanie zaufania do niego i do Rządu Polskiego. Był to typowy twór ministerstwa propagandy Rzeszy. Ludzie chcieli dawać im wiarę, choć rozum wyraźnie i niezbicie wskazywał jawną bzdurę. Ludzie jednak szukali tanich nadziei, po których rozczarowania były nader przykre.

I tak w październiku rozeszła się wieść o mowie radiowej Generała Sikorskiego, w której ten ostatni miał powiedzieć: "Spotkamy się drodzy Rodacy już niedługo, na Boże Narodzenie przy bardzo ubogim, ale naszym, polskim opłatku w wolnej Warszawie." Krzycząca bzdura, a niejedno serce myślało: a jednak, a może. . . .

Tych co znaleźli się w polskich Tatrach w lutym, lub końcu stycznia, górale tajemniczo zawiadamiali, że należy wstrzymać się z przejściem przez zieloną granicę jeszcze parę dni, bo na Węgrzech jest Generał Sikorski, który niedługo, za dwa tygodnie, ma iść na Polskę. W Chochołowskiej Dolinie mieli Niemcy budować już nawet zapory przeciwczołgowe.

Do tej samej kategorii plotek należały wieści o cudach. Co druga osoba w Warszawie widziała się z zakonnicą, która specjalnie przyjechała z Częstochowy, by oznajmić "cud," który miał miejsce w początkach listopada. Na prymarii Matka Boska Częstochowska uniosła dłoń, na której było widać krwawe cyfry: 11—12—39. Oczywiście chodziło o datę wyjścia Niemców z Polski: jedenasty grudzień 1939 rok. Przez trzy dni "cud" się powtarzał, wkońcu Niemcy zamknęli świątynię, a zakonnica wyjechała głosić radosną nowinę. . . .

Podobny, choć mniej popularny "cud"—miał jakoby miejsce z Matką Boską Swarzewską. Jak tylko Niemcy wkroczyli do Warszawy rozeszło się proroctwo Św. Andrzeja Boboli, że Niemcy będą w Polsce tylko 100 dni. Jedni chcieli je liczyć od 1 września, inni od chwili zajęcia Warszawy. O Boboli mówili wszyscy, doszło do tego, że Niemcy zaczęli poszukiwania za ukrywającym się gen. Bobolą. . . .

Dużą popularnością cieszyły się wiadomości o ulotkach, krążących między ludem wiejskim, które zrzuciły jakoby samoloty angielskie. Głosiły one, by nie bać się czarnych żołnierzy i chować przed nimi świecidełka. Ludzie, na których oczach dokonała się ta rzecz, zdawało się zawsze i wszystkim niemożliwa, jak upadek Polski w ciągu dwóch tygodni, skłonni byli uznać za możliwe wszystko. Wojska kolonialne sprzymierzonych też mogły zjawić się niedługo na naszych ziemiach. I znów rozczarowania były przykre.

Krótko przed rozkazem deponowania 100 zł. i 500 zł. banknotów, co było w końcu stycznia, rozeszła się wieść, że Rząd Polski w Angers wydał nową monetę polską —dukat. Złoty jest więc nieważny—można go oddać Niemcom. Plotka ta, na szczęście, nie znalazła wiary. Typowa robota niemieckiej propagandy.

Ludzie chcieli widzieć słabość zaborcy—to dodawało otuchy. Był okres, gdy każdy mieszkaniec Warszawy opowiadał, że wczoraj u jego najbliższych znajomych zdarzył się dziwny fakt. Przyszli żołnierze niemieccy robić rewizję. W trakcie rewidowania zamknęli domowników w kuchni. Po pewnym czasie wypuścili ich. Po rewizji mieszkańcy stwierdzili brak trzech (żołnierzy było na ogół trzech!) ubrań męskich. Wniosek: żołnierze szukają ubrań, by móc dezerterować. . . . Źródłem tej popularnej plotki była wiadomość, że w jakimś miasteczku niemieckim władze zabroniły sprzedaży ubrań cywilnych żołnierzom niemieckim.

Każdy również widział żołnierza (czasami był to oficer) niemieckiego, który zemdlał, czytając list z domu z Berlina: żonę i dziecko zabiła bomba podczas nalotu Anglików na stolicę Rzeszy. Ktoś inny wrócił z Berlina, gdzie załatwiał interesy handlowe i opowiadał, że przez 3 godziny siedział w schronie. To była jesień nie 1940 roku, lecz 1939 roku.

Po Warszawie długi czas grasowała anegdota, różne były jej wersje i szczegóły, zakończenie zawsze to samo. Na Tamce rowerzysta wpadł na przechodzącą ulicą kobietę (czasami było, że kobieta zaczęła nagle na ulicy rodzić). Poturbował ją trochę. Akurat z góry jechało niemieckie auto. Kilka *kobiet* stanęło na jezdni, podnosząc do góry ręce, by wstrzymać auto i prosić o odwiezienie poturbowanej do ambulatorium. Auto stanęło, z auta wyskoczyli oficerowie niemieccy, zdejmując gwałtownie pasy, oddając je niewiastom, trwożliwie pytając: "czy już?" Domyśleć się należało: "czy już nas rozbrajają?" Wspomnienie z 1918 roku.

Najobszerniejszą, przechodzącą różne fazy plotką, upodabniającą się do nowelki, była historia z zamrożeniami. Zaczęło się od tego, że w Warszawie Niemcy zabrali dużą ilość lokali na szpitale. Po Warszawie gruchnęły dwie wiadomości. Jedna głosiła, że Anglicy zaczęli używać na froncie zachodnim gazów zamrażających, które powodują kompletne zamrożenie wrogich żołnierzy. "Sopelki" te miały być samolotami zwożone do Warszawy, z lotniska miały je po szpitalach co nocy przewozić wielkie samochody. W szpitalach była obsługa tylko niemiecka.

Druga wieść była inna: mianowicie widziano jak z Dworca Głównego o 6-ej rano wyprowadzano żołnierzy niemieckich, którzy trzymali się sznura i na oczach mieli żółte opaski. Żółte sztory powieszono w oknach szpitali. Niemcy są ofiarą promieni oślepiających. Pierwsza wieść uległa z czasem zmianie: gazy nie zamrażały zupełnie, lecz działały na płuca, powodując niezdolność do boju.

Niżej podpisany miał wiadomość z ambasady włoskiej, że Anglicy rzeczywiście używają gazów tych i promieni—nie przyznają się jednak do tego ze względu na Amerykę, by nie urazić jej humanitaryzmu. Jednocześnie niektórzy lekarze polscy mieli być jakoby zaproszeni na konsylia w sprawie leczenia zamrożonych. Plotka ta rosła i płynęła wspaniale. Z czasem i ona podzieliła los podobnych—mówiło się co raz mniej, aż ludzi mrożące gazy przestały interesować.

Do plotek, świadczących o sile Sprzymierzonych należały ustawicznie krążące wiadomości o bombardowaniu Polski. Czekano na to z tęsknotą. Gdy 11 listopada rozległy się huki walących się wypalonych domów—mówiono: bombardowanie Okęcia. W lutym mówiono, że Toruń jest obiektem lotnictwa angielskiego. Dopiero w marcu byli lotnicy angielscy po raz pierwszy nad Polską—i to tylko z ulotkami.

Na progu nowego roku wojny warto kilka chwil poświęcić tej "szeptanej broni"—jednej z bogatego arsenału wroga.

Obóz Polski

Wiktor Winiarski

Dziecinna pastorałka o starym Mrozie

Stary Mróz, siwy Mróz
naładował śniegu wóz,
zaprzągł wichry w nim do pary:
jeden młody, drugi stary,
jeden kary, drugi siwy,
ten spokojny, ten płochliwy,
jeden ślepy, drugi głuchy
i w dodatku kłapouchy,
jeden duży, drugi mały. . . .
Wcale mu się nie udały!

Stary Mróz nie zważa nic!
Wyrychtował parę lic,
posmarował szronem osie,
po niebieskiej dudni szosie.
Jak zagaśnie mu latarnia,
to po drodze gwiazdy zgarnia,
przy mijaniu chmury trąca,
nadwyrężył róg miesiąca,
trąca dyszlem w nieba ściany. . . .
Czy ten stary Mróz pijany?

Mróz się upił, że to ha!
a na wozie—babę ma:
siedzi w śniegu stara Zima,
garścią się półdrabków trzyma.
—Ej, ty Mrozie, stary Mrozie,
ani chybi—będziesz w kozie!
Kto to widział gnać tak żwawo,
i w dodatku—nad Warszawą?
Jeszcze kogo zgnieciesz w ścisku.
Stań że lepiej przy karczmisku!

Jak zakręcił stary Mróz,
to wywrócił cały wóz!
Stara Zima wyleciała,
para liców się stargała.
Poleciały białe płaty
Matce Bożej na makaty,
poleciały białe puszki
Jezusowi na poduszki.
Poszły konie—z grubym cienki—
po kolędzie do Stajenki.

Sopel się lodowy skrzy:
to starego Mroza łzy.
Stary Mróz w okrutnym strachu
na Stajenki przysiadł dachu,
płacze, że mu źle na dworze,
a do środka wejść nie może
(bo tam od serduszek dzieci
gorejący płomyk świeci),
ledwo szparką widzi Bozię. . . .
Dobrze ci tak, stary Mrozie!

Antoni Bogusławski



rys. Marian Walentynowicz

"Wszystko w porządku"

Jeden z ostatnich telefonów zamiejskich, jakie przyjął numer 9-65-34 w Warszawie, był z Włochów.

Aparat 9-65-34 zasługuje na wspomnienie, jako zabytek muzealny, strawiony przez pożar, zanim którekolwiek muzeum zdołało się o niego upomnieć. Stanowił on zjawisko dość rzadkie i zabawne, z tego samego gatunku, co lokomotywy o drobnych korpusikach z niebotycznymi kominami, osadzone na ogromnych kołach. Wisiał płasko przybity do ściany —bronzowa drewniana skrzynka o dwuch kondygnacjach—wielki, ze słuchawką uczepioną z boku, prezentujący na froncie syrenę w czerwonym polu i metalowy nagi dzwonek. Poprzez farbę przebijały rosyjskie litery: Варшава.

Zarząd telefonów miejskich obiecywał kilkakrotnie zastąpić go współcześniejszym sprzętem: ostateczny termin wymiany oznaczono na styczeń 1940 roku i tak dotrwał na stanowisku—pogrobowiec niewoli, przeżytek naiwnej epoki—aż do dnia kiedy, dzwoniąc w niebogłosy, rozpadł się razem z epoką następną, która nie zdążyła udzielić mu dymisji.

Z Włochów telefonowała Mania dnia 6-go września 39-go roku, że u niej wszystko w porządku. I jak u nas? Interesu nie miała żadnego.

* * *

Trudno było dopatrzeć się jakiegoś interesu w całym życiu Mani. Cokolwiek by lubiła, cokolwiek najwyższym wysiłkiem osiągała, zawsze jej interesowi przeczyło.

Poznałam ją, kiedy jeszcze nie miała papierów w porządku i dopiero tropiła swoją identyczność po księgach parafialnych zapadłej prowincji. Ojciec-młynarz, ożeniwszy się po raz drugi, oddał ją maleńkim dzieckiem do dalekiej wsi na garnuszek, potem przestał płacić, potem ludzie zaczęli ją sobie podrzucać, jak bezpański sprzęt, potem zatarła się pamięć jej nazwiska i wsi, potem dobroczynne panie zapisały w odpowiednich rubrykach: ojciec — nieznany; miejsce urodzenia—nieznane.

Tym osobom ich własna identyczność dawno się sprzykrzyła. Popierały Manię za to, że była bez żadnego przydziału, że wszystko można było o niej myśleć, wszystkiego się po niej spodziewać.

Zrzekła się spodziewań, aby stanąć na własnych nogach, jako "młodsza" i rozpocząć starania o kiepską identyczność. "Obowiązki" dobierała sobie nie podług pensji, tylko podług "znajomości." Taki chlebodawca był lepszy, który dawał większe szanse w wyrobieniu dokumentu osobistego. Po latach zabiegów cenny dokument uzyskała i wtedy zaczęła dążyć do zamęścia.

W tym celu jednak również chwytała się środków niekorzystnych. Zamiast milczeć z chłopakami po bramach, przyprowadzała ich do swego pokoiku na rozmowy. Jej bluzki były za białe, spódnice za dobrze wyprasowane, nogi za cienkie.

Denerwowała się. Obcięła wspaniałe włosy, zaczęła sprawiać suknie co raz droższe. Od loków, których nie pozwalała targać, i od jasnego płaszczyka, który każde dotknięcie brudziło, uciekł ostatni kawaler. Biegała więc sama na filmy i wracała spłakana; często zmieniając posady, odłożyła jednak przeszło tysiąc złotych.

W trzydziestym roku życia dopiero wyszła za mąż z ogłoszenia —do Włochów.

Męża jej zobaczyłam po raz pierwszy, kiedy odchodzili od ołtarza—ona w ślubnej sukni z welonem, on—w czarnym ubraniu. Pomyślałam: może jednak Bóg zlitował się nad jej nierozumem i dał dobrego człowieka. Mąż—Józio był chuderlawym, bladym chłopcem z marzącymi oczami.

* * *

Co we Włochach było włoskiego? Z początku wydało mi się, że tylko ekran ulicznego fotografa, zamalowany w kolumny i w cyprysy.

Dzień się trafił wczesno-wiosenny,—kiedy tam pojechałam—powszedni, na drogach roztop, nad glinankami, połyskującymi wśród ledwie znacznych pagórków—zieleń, dzieciaki, krowy i kaczeńce. Podziwiałam, czemu taka masa dzieci nie w szkole: okazało się, że za pęk kaczeńców przekupka płaci po piątce, więc nie mogą nad książką marnować sezonu.

W niskim drewniaku była "Kawiarnia, restauracja, wyszynk wódek i piwa." Na ścianach tapeta w róże na tabaczkowym tle, pęk wiecznotrwałych maków na szynkwasie; kanapki ze szczypiorkiem, sernik—wszystko obeschnięte. Stoły, podłoga—czyste, lokal—pusty, gospodyni—spuchnięta. Dwie rozmamłane dziewczyny wyjrzały ziewając zza wewnętrznych drzwi. Kiedy później poznałam wiejskie pub'y angielskie, zabłocone od rana, tak czujne na przejazd autobusów, na trąbienie ciężarówek, na dzwonki rowerowe, pełne fajek, dymiących chipsów i pracowitego rytmu codzienności, przeraziłam się wspomnieniem polskich restauracyjek, odsypiających dzień po dniu pijane "włoskie" noce.

Manię zastałam w szlafroku majstrującą koło drwalki. Była bodaj jeszcze chudsza, niż przed małżeństwem, jej kwiaciasty szlafrok ginął, jak jaskrawa plamka, w morzu błota, nad którą sterczała "posesja numer 6-ty." Zaniepokoiła się raczej, niż się ucieszyła gościem, zaczęła skakać z grudy na grudę, przepraszać. . . .

W domu deski w podłodze chodziły, jak klawisze, na suficie widniały wielkie plamy z zacieków, drzwi od kuchni do pokoju zastawione były szafką, gratów mało i kiepskie.

Mania usadziła mnie na trzeszczącym krzesełku. Zupełnie inne teraz miała obejście, niż dawniej, mówiła grubym głosem, rzucając po kątach surowe, gospodarskie spojrzenia. Ani śladu loków, wysokich obcasów, fertycznej figury.

—Podatków tu sobie uzbierali za rok z górą—opowiadała—w koński paznokieć, a byłaby chałupa poszła z licytacji. W sam czas im pod rękę podeszłam. No, ale na dole dwa pokoje są wynajęte i na piętrze także samo dwa, a sami przecież komornego nie płacim. Kuchnia duża, to teść z nami śpi —za firanką.

—Jakże Józio? dobry?—spytałam.

Przeszła nad pytaniem szybko i z determinacją, jak nad niebezpieczną głębiną.

—Mąż, jak mąż, z tych pieniędzy, co mi się od podatków zostały, tośmy grunt wydzierżawili, koń jest, będziem włoszczyznę do Warszawy dostawiać.

Otóż i odsłaniał się italski sekret: włoszczyzna. Na włoszczyźnie podorabiali się we Włochach ludzie błotnistych "majątków," miniaturowych "kamienic," koso w stosunku do ulicy stojących, jak zabawki niesfornego dziecka, "kamienic," których nietynkowane ściany szczytowe wydawały się oddarte od jakiś bliźniaczych widmowych organizmów.

Mania, która do osiemnastego roku życia nie zaznała własnego łóżka, a do dwudziestego czwartego—własnego nazwiska, okazała się właścicielką majątku, kamienicy, producentką włoszczyzny, osobą, której lokatorzy płacili komorne i których ona meldowała w policji.

Zanim odjechałam, nadszedł Józio z roboty. Drzwi, mocno pchnięte, znienacka wleciały na kuchnię, w pustej ramie stanęła twarz tak biała i gorąca, jak gdyby odlana z płynnego żelaza. Ale na mój widok natychmiast ostygła i poróżowiała, srogość spadła z niej, usta zwiotczały w uśmiechu. Utknął za krzesełkiem Mani i przyświadczał wszystkiemu.

Potem—z pokaszliwaniem, stękaniem—przywlókł się jeszcze teść. Wsiąkł za firankę, ledwie pozwoliwszy uścisnąć sobie dłoń, płaską i bierną.

Opuściłam Manię w przeświadczeniu, że dobrze trafiła, skoro nad wszystko w świecie pożądała osiadłości.

* * *

Dopiero w pół roku później odwiedziła mnie. Z początku miała ten sam nowy swój gospodarski głos i godne obejście. Powodziło jej się, zaległości podatkowe spłaciła, włoszczyzna obrodziła, koń żarł, ale był mocny, mąż szanował ją, teść złapał grypę, ale przeszło.

Pod wieczór Mania opadła, jak przekłuty balonik. W zmierzchu ujrzałam śpiczaste ramiona wstrząsane łkaniem, kształt—i tak drobny—kurczący się do rozmiarów gałganka. . . . Dawny cienki głosik zaskomlił:

—Nie wrócę już, nie chcę, nie mogę do Włochów. . . .

Józio w nocy był "dziwny," a jak Mania uciekała do teścia, ten mówił: "nie mój interes," albo się śmiał i usta jej ręką zatykał. Pieniędzy, co wyłożyła (całą krwawicę piętnastu lat pracy) nie chcieli wpisać na hipotekę, ani nic odpisać nie chcieli. Powiadali: "jak ci się nie podoba, to idź skądeś przyszła" i wypychali ją za drzwi. A na schodach stała Zośka, co u nich przedtem służyła, i chichotała i przedrzeźniała i klęła na czym świat stoi "przybłędę." Sąsiedzi wzruszali ramionami: "nic pani nie poradzisz, oni nie taki, jak panin, majątek przepili." I patrzyli na nią urągliwie—osiadli ludzie z Włochów na warszawską kuchtę.

Kiedy Mania miała już posłane na kanapie w stołowym pokoju i było wiadome dokąd się uda o posadę nazajutrz, skoczyła na równe nogi, wierzchem dłoni otarła oczy, ogarnęła włosy, grubym, gospodarskim głosem spytała:

—Gdzież ta moja torba? Jeszcze złapię ostatnią kolejkę do Włochów.

* * *

Od tej pory minęło sześć lat. Co parę miesięcy, czasami raz na rok pojawiała się Mania, żeby nie wrócić. Z początku sama, potem z dziećmi. Nigdy nie przespała nócy na gościnnej kanapie.

Po każdym porodzie wrzody rzucały się jej na piersi, gorączka trawiła ciało. Zawsze wtedy czarnymi wargami mawiała: "drugi raz mnie na taki figiel nie złapać." I po dziesięciu miesiącach rodziła nowe dziecko, śmiejąc się—we krwi i we łzach—że figiel znowu się udał.

Powoli, powoli teść podpisał co trzeba, zrobił testament—przestała być Mania przybłędą. Konia raz trzeba było sprzedawać, raz dokupywać drugiego, Zośka poszła za mąż, sąsiedzi przekonali się, że suche też bywają dzietne, potomstwo Mani—blade, kruche—miało przezroczyste oczy i czyste ubrania.

Ale dziwność Józia pozostała niezmienna. Znosząc ją dzień po dniu, noc po nocy—latami—Mania od czasu do czasu musiała uciec, przez kilka godzin trząść się jak listek, móc zapomnieć o grubym głosie i włoskiej kamienicy.

Dziwność szybko została nazwana zwyczajnym słowem: wódka. Stary—podobno—sam Józia picia nauczył. Wszyscy zresztą pili we Włochach. Po fajerancie kobiety biegały w rozwianych chustkach od szynku do szynku, prosiły, pomstowały; do późnej nocy widzieć mogłeś ich nietoperze loty i ciężki krok pijaniców, mogłeś słyszeć dzwonki u drzwi barowych, łzawe szepty, szamotanie się, wrzaski.

Raz Mania przyjechała zgięta we dwoje, z zasiniałą szyją.

Wtenczas postanowiłam nareszcie sama rozmówić się z Józiem.

* * *

Znowu wiosna była i znowu nad glinankami żółciały kaczeńce. Niedziela. Idąc od stacji wczesnym popołudniem nieśmiało spoglądałam na cieniutkie gałązki opruszone baziami, rysujące się na niebie tak czysto, tak wytwornie. Wstyd mi było za ludzi przed ich matką—przyrodą, bałam się tego, co zastanę u Mani.

W sieni już usłyszałam głosy pytające, ćwierkające i jeden gruby głos. Otworzyłam drzwi. . . . Jak pąki białe i różowe, w kuchni kłębiły się dzieci. Najstarszy pięcioletni Wojtuś i czteroletnia Teresa w niesamowitej zgodzie obskubywali jakiś przedmiot w kącie za szafą, przysiadając co chwila, trzepiąc rękami, dmuchając, tupiąc, rozgłaszając swój triumf. Najmłodsza Halinka—rozpowita—leżała na pleckach pośrodku łoża, jej maleńkie nogi migały w powietrzu, jak wstążki. Na stołku stała dwuletnia Apolonia. Jedyna tłusta w rodzinie, prezentowała obfite porcelanowe dekolty, podczas kiedy Mania trudziła się nad rozczesaniem jej popielatych kędziorów.

Wyszorowana do białości podłoga, świętujące na półkach rondle, obrus na stole i ciasno ubity pęczuszek fiołków w szklance między doniczkami—Mani zwiędłej, czarniawej, prawie się nie zauważało pośród tego festynu, który, aczkolwiek ludzki, nie mniej był piękny, niż kwitnienie drzew.

Apolonia, skoro otrzymała ciastko do garści, pozwoliła przyoblec pulchne ciało w niedzielne batysty i sama wyjrzała z nich, jak wielkie ciastko z kremem—apetyczna i aż mdląca z dobroci.

Szczęście osiągnęło wkrótce swój zenit. Objedzone, ugłaskane dzieci zaczęły krzywić buzie, wydymać brzuszki, słaniać się, kaprysić . . . Halinka usnęła po krótkim płaczu.

Wyszłyśmy przed dom. Na podwórku błoto nigdy nie wysychało. Ale w ogródku ścieżki były uklepane, barwinek kwitł, bez pęczniał . . . Apolonia zajęła się wydłubywaniem kamyków ze żwiru, starsze dzieci pognały w ulicę.

—Gdzie Józio?

Mania uważnie zapatrzyła się w słońce, tonące za jej dzierżawnym polem.

—Dawniej perswadowałam mu —rzekła po namyśle—Popatrz się, niedziela . . . kina grają, kwiaty kwitną, miejże ty, człowieku, zmiłowanie nade mną, cały tydzień, jak ten wół w kieracie łacham—byle czysto ,i syto, i po ludzku. Wyjdźże ze mną w niedzielę, niech ludzie widzą, że mam męża, niech ja też trochę dobroci użyję. . . .

Zerwała się z twarzą zalaną nagłym ogniem.

—Polcia, miejże ty Boga w duszy! Rzuć zaraz to świństwo!

Apolonia, przykucnięta pod bzem, nierychliwie obróciła głowę. Na podołku, w torbie zrobionej ze śnieżnych swoich batystów, ugniatała przy pomocy śliny i jednej tłustej dłoni, potężny kluch z gliny i z zeszłorocznych zgniłych liści.

—Teraz już nie warto—dokończyła Mania—i tak od domu nie odejdę.

Milczała dłuższą chwilę, huśtając senną Apolonię. Wreszcie przybliżyła się do mnie; głosem jeszcze grubszym, niż w najbardziej gospodarskich okazjach, powiedziała:

—A co do tego, co pani ma na myśli . . . to jest moja wina. On dzieci lubi. Prędzej sto razy ja które dziecko uderzę, niż on rękę podniesie. A jak doktór dla mnie lekarstwo zapisał, to on pokryjomu wykupił. To pocóż ja mu się tak ciągle sprzeciwiam? Poco ja za nim chodzę tam, gdzie jego prawo jest samemu być?

Halina rozkrzyczała się za oknem, Wojtuś z Teresą przybiegli zziajani, Polcia z kolei usnęła. Wracałyśmy do mieszkania szarówką. Przed progiem Mania się zatrzymała. Ugięta pod ciężarem swego pulchnego skarbu, dodała:

—Bo i cóż on ma po prawdzie ten Józio? Ja mam te dzieciaczyny i to czekanie na niego, ten dom. . . . A Józiek? Przecie to nie on mnie, tylko ja sobie jego znalazłam.

Późnym wieczorem Józio odprowadzał mnie na stację. Wszędzie po domach dzieci spały już, wszędzie na progach i na balkonach, na gankach siedzieli ludzie, nigdy wiosny niesyci. Żaby grały na potęgę aż gęste, wonne powietrze drżało od rechotu i tryl słowika zdawał się nieważny. Wąziuteńki sierpek księżyca, zawieruszony między gwiazdami, wyglądał także na rzecz niepotrzebną, a jednak ludzie nie szli spać, żeby jeszcze choć trochę na niego popatrzeć, wytężali ucho, żeby pieśń słowika wychwycić z żabiego koncertu, i nie wstydzili się siebie ani przed księżycem, ani przed słowikiem.

Józio milczał. Wiedział, że ja wiem i nie wstydził się. Gdzie chadzał niedzielami Mania nie wspominała, widocznie więc ta sprawa nie była publicznym skandalem.

Konduktor zapraszał do wnętrza kolejki. Objuczeni kolczastymi bukietami tarniny, pasażerowie śpieszyli. Józio rozejrzał się dokoła, jakgdyby chciał coś powiedzieć poufnego, otworzył usta, złapał dech. . . . I pocałował mnie w rękę, i podniósł na mnie oczy—tak samo pytające, dziecinne, jak oczy jego syna. . . . I prędko odszedł bez słowa.

Przez chwilę jeszcze siedziałam w oknie kolejki, nasłuchując. . . . Kiedyśmy z Włochów ruszali, wydało mi się, że poprzez żabi rechot słyszę szarpnięcie dzwonka we drzwiach tej restauracji, gdzie kiedyś w południe nie mogłam od spuchniętej gospodyni doprosić się szklanki herbaty.

* * *

Dnia 6-go września 1939 roku Mania telefonowała do mnie z Włochów:

—U nas wszystko w porządku. A u państwa?

Teraz jest listopad 1940 roku. Mieszkam w angielskiej wiosce między trzeźwymi, odpowiedzialnymi ludźmi. Któregoś wieczora przyjechali rodacy poszliśmy do oberży na piwo. Oczywiście nie piliśmy piwa, tylko whisky, i trzeźwi, dobrotliwi ludzie spoglądali na nas z niepokojem. Nie gorszyli się, bo ich sympatia dla Polaków pochłaniała wszelkie refleksje. Ale widać było, że boleją nad ilością trucizny, jaką wlewamy do własnej krwi, że boją się tych snów, które nam będą się śniły.

Wspomniałam Włochy. Wspomniałam kwietniowy wieczór "włoski." Wspomniałam ludzi, którzy bez snów wódczanych żyć nie chcą. Wspomniałam telefon Mani:

—U nas wszystko w porządku.

Teraz nie ma już starego telefonu 9—65—34 z syreną w kraśnym polu.

Jednak założę się, że Mania bierze czasem do ręki słuchawkę i dzwoni do mnie światami. . . .

—Gdzie Józio? — odkrzykuję przez światy.

Nie założę się, czy Józio nie stoi w tej chwili na warcie przed szkockim obozem, nie wytęża ucha z nad oceanu ku drzwiom restauracyjki we Włochach.

Józio tak lubił sny. . . . Może zapragnął snów włóczęgowskich, snów heroicznych, snów szkockich?

Nie założę się też, czy udręczony przez Szwaba, nie usnął snem wiecznym w błotnistej "włoskiej" glinie.

Gdziekolwiek jest Józio—na ziemi, czy w ziemi—Mania jest we Włochach. Ubiera Apolonię we własny sweter łatany, karmi Halinę użebranym chlebem, krzyczy na Wojtka i Teresę, żeby "Boga mieli w duszy," sadzi cudzą włoszczyznę, pilnuje jakiejś kamienicy, interesu nie ma żadnego, tylko stwierdza:

—U nas wszystko w porządku.

Potem pyta:

—A u państwa?

Cóżby odpowiedzieć? Chyba, że bez jej porządku nie mogliby się nigdy przebudzić w Polsce ci, którym teraz w Anglii sen żołnierski się śni.

Maria Kuncewiczowa

WIZYTA WODZÓW DWU ARMII SPRZYMIERZOMYCH



Dekoracja gen. Fleischera

WÓDZ NORWEGÓW WŚRÓD ŻOŁNIERZY POLSKICH

Jest wczesny ranek grudniowy i dzień dopiero się wykluwa z sunących nisko ciężkich czarnych chmur, gdy auto, wiozące ekipę sprawozdawczą rusza w drogę do miejsca postoju Komendy Korpusu w Szkocji. Obok piszącego te słowa siedzi w dobrym zdrowiu i niezgorszym humorze popularny fotograf p. Pikiel, świeżo życiu przywrócony “nieboszczyk.”

Około 9.20 zajeżdżają przed Kwaterę Komendy auta wiozące gości norweskich. Wysiada gen. Carl Fleischer, naczelny wódz wojsk norweskich w Wielkiej Brytanii, miły, siwy o niebieskich oczach, zasłużony żołnierz w bojach z nawałą niemiecką pod Narwik. Towarzyszą mu ppłk. Arna Dahl (wspaniały typ północnego Skandynawa), mjr. Petersen, attaché przy rządzie polskim oraz kpt. Cran. Kompania honorowa i dywizjonu rozpoznawczego prezentuje broń, generał dr. Kukiel wita oficerów sprzymierzonej armii norweskiej. Po przeglądzie, w czasie którego gen. Fleischer z zainteresowaniem ogląda uporządzenie polskiej kompanii, odbyła się krótka konferencja w dowództwie, poczem korowód aut ruszył w drogę.

W PIERWSZEJ BRYGADZIE STRZELECKIEJ

Pod miasteczkiem, w obrębie parku, stanęła kompania honorowa. U wejścia składa raport dowódca I Brygady, poczem orkiestra (już druga w polskich formacjach w Szkocji) gra hymny narodowe: polski i norweski.

Przegląd oddziału, poczem wódz naczelny Norwegów, upewniwszy się jeszcze w zawiłej kwestii wymowy, pozdrawia po polsku żołnierzy: “Czołem kompania!”—“Czołem panie generale!”—nie brzmi, ale huczy odpowiedź, poczem defilada kończy żołnierską uroczystość.

Ruszamy dalej. Ze strony polskiej towarzyszą gen. Fleischerowi kilku generałów polskich armię brytyjską reprezentują płk. de Chair, mjr. Cazalet i kilku innych oficerów.

CIĘŻKI KALIBER NA WIDOWNI

Kolumna aut mija małe, schludne miasteczka szkockie; na skrzyżowaniach regulują ruch i drogę wskazują nasi żołnierze. Przechodnie pozdrawiają jadących przyjaznym uśmiechem i uniesieniem do góry kciuka, dzieci wołają “dzień dobry!”, co brzmi czasem jak “gin dobry!”, czemu nasi chłopcy nie mogą również zaprzeczyć. W powietrzu już ciężkie ważki unoszą się ćwiczebne samoloty, płynąc zwolna nad ugorami lub pochodząc do lądowania z tak małą szybkością, że odnosi się wrażenie jakby zatrzymały się nieruchomo w powietrzu.

Pozostawiamy na boku miasteczko i skręcamy na wyboistą polną drogę.

Dowódca polski w doskonałej francuszczyźnie objaśnia konstrukcję dział i określa pozycję strategiczną nadbrzeżnego odcinka, poczem gen. Fleischer gramoli się na górną warstwę worków, oglądając armatę. Padają słowa komendy, lufa błyskawicznie podnosi się do góry, kilka sprawnych ruchów i działo już nastawione i załadowane, tylko kanonier z wyciorem stoi nieruchomo podczas tych przygotowań—on pełni swoją funkcję dopiero po oddaniu strzału.

Pokaz skończony—auta wyjeżdżają znowu na szosę i zatrzymują się na skraju miasta, gdzie odbywa się przegląd i defilada III batalionu strzeleckiego.

Z kolei goście zwiedzają rejon zakwaterowania i przyglądają się lekcji nauki o broni na kursie szkoły podoficerskiej.

U PODHALAN

Mijamy kilka mniejszych osiedli, jakieś ogromne lotnisko, z którego co chwilę wzlatują maszyny i zjeżdżamy na leśną drogę. Na skraju lasu postój—wszyscy wysiadają i jesteśmy na odcinku batalionu Podhalan, którzy z gór norweskich przywędrowali na piaszczyste nadmorskie równiny szkockie. Już melduje się obrany w pelerynę “baca,” dowódca batalionu i prowadzi gości nad brzeg.

Zbliża się czas przyjazdu Naczelnego Wodza, więc wracamy na skraj lasu, a potem idziemy w kierunku baraków podhalańskich, zręcznie wybudowanych. Na ogromnym placu na maszcie trzy flagi; polska, brytyjska i norweska i długie szeregi żołnierzy. Do orszaku dołącza się gen. Orał, dowódca brygady podhalańskiej w kampanii norweskiej.

NACZELNY WÓDZ U ZDOBYWCÓW NARWIKU

Jest właśnie południe, mgła przerzedziła się znacznie i nawet, ku radości fotoreporterów, blade grudniowe słońce oświeca okolicę. Nadjeżdża auto Naczelnego Wodza, padają słowa komendy, oddziały prezentują broń, orkiestra gra “Jeszcze Polska nie zginęła,” potem narodowy hymn Norwegii. Gen. Sikorski wita gen. Fleischera poczem po dokonaniu wspólnie z nim przeglądu wśród uroczystej ciszy zwraca się do wodza norweskiego:

“Panie Generale Fleischer! Gdziekolwiek wolność jest zagrożona Polska staje w jej obronie. Te słowa zostały wypowiedziane przed 148 laty przez żołnierza z epoki napoleońskiej, jednego z najwybitniejszych oficerów cesarza; był nim ks. Józef Sułkowski. Na tej zasadzie sformowana została górska brygada polska, która jako największa, bo ludniej licząca jednostka wojsk sprzymierzonych biła się w Norwegii.

Wasz piękny kraj był wzorem organizacji demokratycznej w dziedzinie politycznej i społecznej, a zamieszkujący go lud szczerze miłował pokój. Ale drapieżny imperializm niemiecki zrabował waszą niepodległość. Norwegia, podobnie jak Polska, cierpi pod butem najeźdźców. Nasze armie zmuszone były walczyć na obcej ziemi o wolność narodów.

Walkę tę prowadzimy, a trwać ona będzie aż do dnia zupełnego zwycięstwa i triumfu wolności. Braterstwo broni i wzajemny szacunek naszych żołnierzy, wzmocnione wspólnie przelaną krwią, pana osobisty udział w kampanii norweskiej uczyniły jeszcze silniejszymi węzły, które łączyły nasze dwa kraje. Zbliżenie to zacieśni węzły przyjaźni i stworzy fundamenty, na których oprze się lepsza przyszłość wolnych ludów Europy.

Wspominając z szacunkiem waszego dzielnego wodza naczelnego gen. Ruege, który podzielił los wielu swoich żołnierzy i pozostał w kraju, nadaję Panu Generale Fleischer Krzyż Virtuti Militari V kl. jako wyraz uznania dla osobistego męstwa Pana i wysokich walorów dowódcy, wykazanych w czasie walk w północnej Norwegii, a przede wszystkim pod Narwik. Niech ten znak będzie symbolem wieczystej przyjaźni naszych wojsk, niech wyraża szacunek, z jakim Polacy odnoszą się do króla Norwegów Haakona, wielkiego bohatera i wielkiego w prostocie swej człowieka.”—

Na piersi norweskiego generała zabłysnął Krzyż Virtuti Militari, poczem Wodzowie uściskali się serdecznie. Z kolei przemówił po norwesku gen. Fleischer; przemówienie to zostało przełożone na język polski:

“Panie Generale! Żołnierze polscy! Wielki to zaszczyt dla mnie, iż znajduję się przed frontem wojska, które biło się tak walecznie za moją Ojczyznę. W akcji pod Narwikiem biliśmy się zwycięsko z Niemcami, odrzucając nieprzyjaciela. Żołnierz polski wziął w tej walce chwalebny udział, bijąc się, jak zwykle, po bohatersku. Dziękuję Wam za to z głębi serca!

Żołnierze, którzy walczyli w wojnie norweskiej będą nosić naramienne sznury o narodowych barwach Norwegii. Jest to wielki zaszczyt dla nas, gdyż wiem, że barwy mojego kraju nie były nigdy noszone przez bardziej walecznego żołnierza. Naród norweski zaciągnął wielki dług u narodu polskiego i nigdy o tym nie zapomni!

Jest dla mnie najwyższym zaszczytem, że dane mi jest nosić Wasz Krzyż Virtuti Militari Dziękuję Ci Panie Generale!”

Przed frontem oddziałów kilku oficerów i żołnierzy w szeregu. Wódz Naczelny zbliża się do nich i odczytuje po kolei nazwiska. Padają słowa “*Za okazane męstwo i wyróżnienie się na polu walki pod Narwikiem nadaję wam krzyż Virtuti Militari V klasy.*”

Każdy z odznaczonych otrzymuje order i pocałunek Wodza. Szczególne wzruszenie ogarnia wszystkich, gdy Naczelny Wódz dekoruje dwóch bohaterów inwalidów. Jeden z nich stracił wzrok wskutek postrzału, drugi, młodziutki chłopiec, opiera się na kuli; nogę urwał mu odłamek bomby niemieckiej w pamiętnym natarciu na Ankenes.

I znowu brzmi głos generała: “Wszystkim stojącym w tym szeregu nadaję Krzyż Walecznych za męstwo okazane w bitwie pod Narwik.”

Blisko stu oficerów i szeregowych otrzymuje zaszczytny Krzyż; generał Fleischer serdecznie gratuluje odznaczonym.



Gen. Sikorski ściska dłoń gen. Fleischera po dekoracji Krzyżem “Virtuti Militari”

Po ukończeniu dekoracji oddziały prezentują broń dla uczczenia wyróżnionych, poczem generał Sikorski wdaje się w rozmowę z nowymi kawalerami orderu Virtuti Militari, troskliwie dopytując się o stan zdrowia inwalidów i przypominając dowódcy brygady, aby ich otoczono najstaranniejszą opieką.

Tymczasem oddziały ustawiają się do defilady. Naczelny Wódz wraz z gen. Fleischerem i jego świtą, generalicja polska i oficerowie brytyjscy stają na trybunie. Obok stanęli nowo-odznaczeni. Już grzmi równy krok maszerujących oddziałów, gra orkiestra i w takt “Warszawianki” pochyla się przed trybuną sztandar zwycięzców z pod Narwik i Ankenes, ozdobiony wstęgami orderu “Virtuti Militari.”

Defilada skończona. Gen. Sikorski ściska dłoń “bacy”—dowódcy batalionu.—

ŻOŁNIERSKIE PAMIĄTKI

Po skończeniu uroczystości proszą Podhalanie do jednego baraku, gdzie zgromadzono z dużym nakładem pracy różne żołnierskie pamiątki. Pod portretami Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza są te najdroższe, najcenniejsze: szczypta ziemi polskiej w puszce z kryształu i podkowa, w której wgłębieniach żółci się jeszcze kurz wrześniowy naszych dróg. A dalej w bardzo starannym i estetycznym układzie zgromadzono różne ciekawostki. Są tu doskonałe zdjęcia z Norwegii, na które z rozrzewnieniem patrzą norwescy oficerowie, jest wspaniała mapa, ilustrująca tułacze szlaki wędrówek żołnierza polskiego, są ulotki gadzinowe, zrzucane na przemian z bombami z samolotów niemieckich, wzywające do zaprzestania walki. Leżą pieniądze, polskie złotówki, rumuńskie leje, i pengoe węgierskie i liry włoskie, denary jugosłowiańskie, franki, drachmy i t.d. Obok paszporty upstrzone wizami, wśród których nie brak nawet tak egzotycznej, jak chińska.

Są i wydawnictwa. Książki polskie i czasopisma “cywilne” i żołnierskie z “Polską Walczącą” na czele. Osobny dział stanowią prace żołnierzy: orzełki cynowe, jakieś szachy wymyślnie malowane i wiele jeszcze innych rzeczy.



Dekoracja za waleczność

POWRÓT

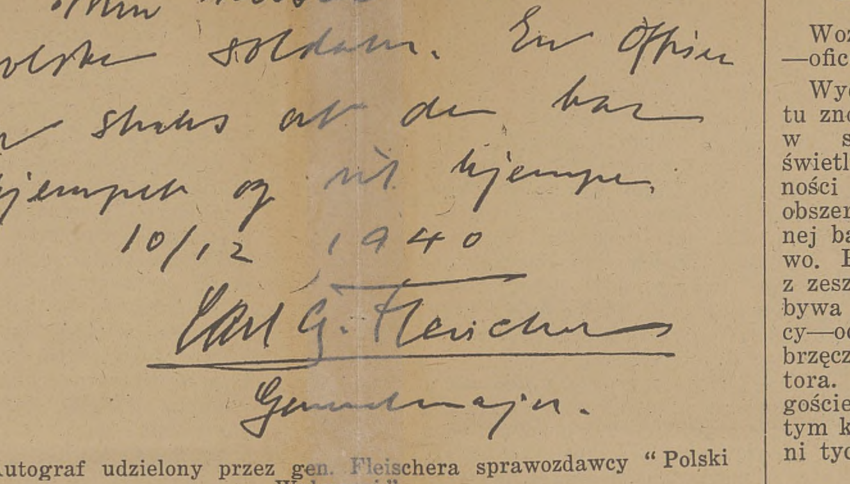
Kończy się wizyta u Podhalan. Naczelny Wódz jedzie z norweskimi i brytyjskimi gośćmi na obiad do komendy brygady.

Po drodze jeszcze jeden nieprzewidziany postój: obok lotniska przechodzi kondukt pogrzebowy młodego pilota brytyjskiego, który zginął śmiercią lotnika. Orkiestra kobziarzy gra marsza żałobnego. Naczelny Wódz wysiada z auta i wraz z całym orszakiem salutuje w milczeniu trumnę okrytą brytyjskim sztandarem i zarzuconą kwiatami.

Dzień następny (10.XII) poświęcony był zwiedzaniu odwodów centralnego Obozu Wyszkolenia. Dowódca obozu towarzyszył przez cały dzień gen. Fleischerowi. Naczelny Wódz i Dowódca V-go korpusu, nie byli obecni, towarzyszył natomiast gościom zastępca dcy Korpusu.

“WESOŁA JAZDA”

Wyjazd nastąpił rano przyczym szkocka pogoda zaprezentowała jedną ze swoich złośliwych niespodzianek: po mrocznej księżycowej nocy, ociepliło się nad ranem



Autograf udzielony przez gen. Fleischera sprawozdawcy “Polski Walczącej.”

Najgorętsze życzenia dla żołnierzy polskich. Oficer od jednego rzutu oka stwierdza, że walczyli, i że będą walczyć dalej.

Naczelny Wódz Wojsk Norweskich w Wielkiej Brytanii, Gen. Carl Fleischer liczy lat 55 i uchodzi za jednego z najlepszych oficerów norweskiego Sztabu Generalnego. Po wtargnięciu Niemców do Norwegii, jako dowódca frontu północnego, wykazał wielkie zalety wodza, współdziałając z komendą Wojsk Sprzymierzonych, wśród których największą jednostką była Brygada Podhalańska. Po wygaśnięciu walk w Norwegii gen. Fleischer wyjechał wraz ze swymi oddziałami do W. Brytanii, aby prowadzić dalej walkę o wyswobodzenie ojczyzny.

i spadł deszcz, a ponieważ po niej mróz odzyskał stracone pozycje, więc asfalt szosy olodzony był dość dokładnie i jazda zapowiadała się “wesoło.”

Istotnie, mimo bardzo ostrożnego prowadzenia, wóz “tańczył,” a koła “buksowały” od czasu do czasu, aż wreszcie na jakimś zakręcie zrobiliśmy prawidłowy obrót o 360 stopni dokoła własnej osi, zawadziwszy lekko o murek przydrożny. Rekord trasy pobiła jednak sympatyczna “drajwerka,” której wóz, jadący w bardziej “kawalerskim tempie” zrobił aż cztery obroty od jednego zamachu. Na szczęście nikomu nie stało się nic złego i Angielka uroniwszy z emocji kilka nieregulaminowych łez, dołączyła później wraz z pasażerami do kolumny.

NA ĆWICZENIACH

Dokonawszy przeglądu oddziału przeciwpancernego na rynku małego miasteczka, udali się goście za obręb osiedla na wzgórze, gdzie zaczynały się ogromne plantacje malin. Okryte szronem pędy, przywiązane do palików z drutami, tworzyły fantastyczne “zasieki.” Krótkie objaśnienie założenia ćwiczeń w języku francuskim, sygnał trąbki i “rozjemcy” z białymi opaskami stają na stanowiskach. Ze wzgórza leżącego naprzeciw wychodzi natarcie piechoty. Szybko poruszają “skokami” małe figurki tyraliery; z malinowego pagórka odzywają się kołatki pozorujące ogień c.k.m.

Tymczasem na szosę wyjeżdżają lekkie czołgi. Ostre wzniesienie szosy i asfaltowa gołoledź to wprawdzie piekielne warunki dla nacierających tanków, a jednak dają one sobie doskonale radę i narciarskimi “zakosami” pokonują wzniesienie, znikając z pola widzenia. Równocześnie oddziały piesze schodzą ze stanowisk, defilują przed gośćmi, a potem wracają do kwatery.

Jedziemy dalej. Słońce pokonało zdecydowanie mgły poranne i świeci wspaniale na nieboskłonie, kładąc na przemian raz oślepiające blaski, to znów liliowe cienie na dalekie ośnieżone wzgórza.

Po dwudziestu minutach jazdy postój dla oglądnięcia ćwiczeń oddziału artylerii. Znowu sprawnie rozwija się natarcie, które tym razem wychodzi z szosy, kierując się na przeciwległe zalesione wzgórze. Nadchodzi właśnie major, który wyróżnił się w walkach pod Narwikiem i nawiązuje rozmowę z norweskimi oficerami. Po chwili do grupy zbliża się i gen. Fleischer. Płyną wspomnienia, padają nazwy: Haarstadt, Bejsfiord, “wzgórze 295”; twarze Norwegów rozjaśniają się uśmiechem—może widzą w tej chwili daleką ojczyznę.

Wracamy do miasteczka, gdzie następuje zwiedzanie kwater. Gen. Fleischer bada, czy posłane prycze nie są zbyt twarde i rozmawia chwilę z jednym z żołnierzy, który wcale nieźle, odpowiada po angielsku.

Jeszcze odwiedziny w kantynie, zaopatrzonej w pisma ilustrowane angielskie i skromną bibliotekę, rozmowa z siwowłosą lady, która z uśmiechem obsługuje “*Polish boys*” i kolumna aut rusza w dalszą drogę.

ŁĄCZNOŚĆ PRACUJE

Wozy zatrzymują się w parku—oficerowie wysiadają.

Wychodzimy z parku na pola: tu znowu odbywają się ćwiczenia w sygnalizacji, flagowej i świetlnej. Dowódca grupy łączności prowadzi potem gości do obszernej świetlicy, przyozdobionej bardzo estetycznie i pomysłowo. Przy stołach siedzą żołnierze z zeszytami, pilnie notując. Odbywa się—jak informują fachowcy—odbiór słuchowy, nadawany brzęczykiem przez oficera-instruktora. Po drodze jeszcze oglądają goście ćwiczenia telefonistów i na tym kończy się wizyta w pracowni tych “drucików.”

POŻEGNANIE GOŚCI NORWESKICH

Z miejsca postoju oddziałów łączności pojechał generał Fleischer wraz z innymi gośćmi norweskimi i brytyjskimi na śniadanie, w czasie którego wzniesiono toasty na cześć królów Haakona i Jerzego VI, Prezydenta Raczkiewicza i Naczelnego Wodza Generała Sikorskiego.

Zbliżała się chwila odjazdu. Przed pożegnaniem przemówił do zebranych w języku francuskim Generał Fleischer, dziękując serdecznie za gościnę i chwaląc wyszkolenie i postawę oddziałów polskich. “*Polska pierwsza*—mówił Wódz Norwegów—*uderzyła na napastnika i pierwsza odbudowała swoje siły zbrojne na obcej ziemi. Żołnierze polscy po bohatersku walczyli w Norwegii i Francji, a teraz stoją gotowi do walki na ziemi angielskiej.*” “W dziecinnych latach—ciągnął dalej generał—słyszałem o waleczności herosów greckich i bohaterstwie Polaków. Dziś podziw całego świata otacza te mężne narody, walczące o własną i innych ludów wolność.

Złożywszy jeszcze raz podziękowanie za rycerską pomoc, okazaną napadniętej Norwegii — wzniósł generał Fleischer okrzyk po norwesku na cześć armii polskiej, powtórzony przez oficerów. Generał Dowódca Brygady podziękował za słowa uznania, poczem jeden z oficerów angielskich zakończył serię przymówień, podkreślając, iż krew przelana w obronie wolności złączy zwycięskie narody sprzymierzone i stanie się zadatkiem szczęśliwej przyszłości.

* * *



Gen. Allan Brooke w rozmawie z gen. Sikorskim

Dnia 11 grudnia przybyli na “polski odcinek” w Szkocji Sir Alan Brooke, Głównodowodzący Wojsk Brytyjskich oraz Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski. Ze strony brytyjskiej obecny był dowódca wojsk w Szkocji gen. Carrington, mjr. Cazalet i wielu wyższych oficerów; Naczelnemu Wodzowi towarzyszyli liczni generałowie polscy, wielu oficerów sztabowych, oraz dowódcy wizytowanych jednostek.

W KOSZARACH ARTYLERII

Był ranek zimny, ale pogodny, zarumieniona od mrozu tarcza słoneczna wisiała jeszcze nisko nad ziemią, gdy na dziedzińcu koszar odbywał się przegląd oddziału artylerii. Sir Brooke, średniego wzrostu, a żywych, energicznych ruchach—typowy “pistolet,” mówiąc żołnierskim żargonem—rozmawia po francusku z dowódcą, interesując się sytuacją strategiczną odcinka i rozmieszczeniem oddziałów. Następuje zwiedzanie rejonu zakwaterowania, poczem Naczelni Wodzowie wraz z otoczeniem wracają na dziedziniec.

Obydwaj Wodzowie studiują przez chwilę mapę a tymczasem oddziały ustawiają się do defilady, którą Sir Brooke i gen. Sikorski przymują na trybunie, ozdobionej barwami Polski i Wielkiej Brytanii.

V BRYGADA KADROWA

Na skraju miasta ulokowała się piąta brygada kadrowa. Dowódca jej melduje się generałom i prowadzi przed front oficerskiej kompanii honorowej, gdzie odbywa się przegląd, a później defilada. Uścisk dłoni, polskie “Szczęść Boże” i angielskie “*Good luck*” kończą krótką uroczystość.

Jedziemy dalej, przemierzając tereny, na których już łagodna szkocka zima rozpostarła swe panowanie. W miarę jednak zbliżania się do morza niknie skąpa pokrywa śnieżna i robi się cieplej. Auta mkną szybko po asfalcie; na skrzyżowaniach wszędzie rozstawieni nasi żołnierze wskazują drogę. W pewnym momencie przyłącza się oficer pilotujący na motocyklu. Jesteśmy znowu na odcinku kawalerii.

UŁANI JAZŁOWIECCY

Na pustkowiu nadmorskim maleńkie kolorowe domki campingowe—przed nimi długi dwuszereg żołnierzy. Na płaszczach żółto-białe proporczyki. To sławni ułani jazłowieccy! Z “Jałowca,” z łyczakowskich koszar zawędrował umiłowany pułk lwowskiej “czternastki” aż pod Warszawę, potem na Węgry, a teraz w Szkocji w uszczuplonym i zmienionym składzie, ale z dawną ułańską fantazją, straż czujną nad morzem trzyma. Nawet jałowiec tu mają na tych wydmach nadbrzeżnych, ale jakiś inny, niż w Ojczyźnie za “drągiem” łyczakowskim. I Lwowa nie ma!

Po przeglądzie Naczelni Wodzowie idą na pozycje.

Przechodzimy na sąsiedni odcinek, również straży “czternastki” powierzony.

Budowali go ułani na spółkę z saperami, których kwatery znajdują się niedaleko. Dca 10 B.K. rozwija mapę, nad którą pochylają się generałowie i po francusku informuje. Z ust dowódcy Brytyjskich *Home Forces* pada co chwilę krótkie “bon”—a nasz Wódz Naczelny uśmiecha się zadowolony.

U SAPERÓW

Zbliża się południe, gdy polsko-brytyjski orszak dokonuje przeglądu kompanii saperów. Gen. Brooke upewnia się, czy to ta pracowała przy budowie umocnień, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź raz jeszcze chwali rzetelną fachową robotę.

“Mogę Pana Generała zapewnić, że pracowali z całego serca”—odpowiada na słowa uznania dowódca czarnej brygady.

Na lewym skrzydle kompanii stoi wysoki gentlemen w mundurze z czarnymi naszywkami. To lord Dalhousie, komendant obwodu *Home Guard*. Podchodzi do niego gen. Sikorski i ściskając serdecznie rękę, dziękuje za współpracę z oddziałami polskimi dla wspólnego zwycięstwa. Później gen. Brooke informuje się o liczebności, pracach i potrzebach miejscowej Gwardii Narodowej.

WRACAMY DO UŁANÓW

Czas płynie szybko, więc auta ruszają na inny odcinek, obsadzony przez pułk ułanów z Kraśnika.

Jesteśmy na miejcu. Brzeg tu bardziej stromy i morze szumi z daleka. Krótki przegląd szwadronu honorowego, zwiedzanie stanowisk.

W sali kasyna, położonego w pięknym parku, przygotowali ułani śniadanie dla gości brytyjskich i polskich; zabrzmiały huczne toasty na cześć Króla Wielkiej Brytanii i Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, poczem Sir Alan Brooke wygłosił przemówienie po angielsku, które zostało przełożone na język polski.

“CIESZĘ SIĘ, ŻE MOŻEMY POLEGAĆ NA WASZEJ POMOCY”

“Jestem szczęśliwy—mówił N. Wódz Wojsk Brytyjskich—że mogłem się zetknąć osobiście z oficerami i żołnierzami dzielnej armii polskiej, którzy dzielą wraz z nami trudy obrony naszych wysp. Mamy długi odcinek do strzeżenia jako żołnierze rozumiecie Panowie, że niełatwe to zadanie. Chociaż od nieprzyjaciela oddziela nas niezgorszy rów przeciwczołgowy—morze, to jednak zdajemy sobie sprawę z potęgi wroga i możliwości inwazji. *Gdy jednak patrzę na Was i na Wasze oddziały, cieszę sie, że możemy polegać na Waszej pomocy.*

To, co dziś widziałem na Waszym szkockim odcinku, upewniło mnie w przekonaniu, że każda próba lądowania wojsk nieprzyjacielskich, spotkałaby się z gorącym przyjęciem.”



Uścisk Wodza i żołnierza

Dziękuję Wam za serdeczną gościnność i cieszę się z łączności nawiązanej z Wami.”

Z kolei przemawia Nacz. Wódz gen. Sikorski.

“ŻOŁNIERZ POLSKI SPEŁNI SWÓJ OBOWIĄZEK DO KOŃCA”

“Stwierdzam, że z największą radością gościmy Wodza Armii Brytyjskiej. Mogę go zapewnić, że *żołnierz polski, objąwszy odcinek powierzony mu do obrony, spełni swój obowiązek do końca.*

Rozumiemy doskonale trudności, o których mówił generał, lecz wiemy, że na straży wysp brytyjskich, jedynego dziś puklerza Europy, stoi nieugięty, bohaterski naród brytyjski i jego waleczna armia.

W nowoczesnej wojnie rozstrzygają: materiał wojenny i wola walki. Wola walki była po naszej stronie, lecz brakło nam nowoczesnego sprzętu i dlatego Polska uległa przemocy lecz nie poddała się. Jestem przekonany, że w długotrwałej wojnie, którą Anglicy potrafili narzucić Niemcom, po stronie brytyjskiej będą oba te czynniki. *I dlatego wierzę w zwycięstwo, które będzie triumfem naszej wspólnej sprawy.* Śmiem twierdzić, że naród angielski zrozumiał tę prawdę. *że przyszłość Europy można budować tylko w oparciu o silne państwo polskie.* I dlatego Kanał, który według słów Sir Brooke’a, jest dobrym, ale nie wykluczającym możności najazdu, rowem przeciwczołgowym, będzie tym płytszą i mniejszą przeszkodą dla współpracy naszych narodów.

Dziękuję Panu Generałowi, że znalazł czas, aby do nas przybyć, zapewniam go, że podbił wszystkie serca żołnierskie i starym polskim obyczajem wznoszę okrzyk na jego cześć: “Niech żyje!”

Zebrani oficerowie podejmują trzykrotnie toast, poczem goście ruszają w dalszą drogę do miejsca postoju, dowództwa 10 B.K.

CZARNI I PANCERNI

Motocykliści brygady prowadzą kolumnę wozów. Droga wije się wśród lekko ośnieżonych pól, mija małe zagajniki, biegnie wzdłuż szpaleru krzewów berberysu, obsypanych czerwonymi jagodami i rojami ćwierkliwego ptactwa, wreszcie śliczna alejka brzozowa i—miasteczko przed nami.

Przed budynkiem Dowództwa, na którym powiewają flagi polska i *Union Jack*, na chodnikach tłumy szkockiej publiczności. Naczelni Wodzowie, generalicja stają na trybunie, ozdobionej Orłem Białym i zaczyna się defilada. Orkiestra gra żywego marsza a w takt tych dźwięków suną jednostki zmotoryzowane. Potem idzie rzut pieszy; strzelcy w jednolitych kaskach kawalerii pancernej prezentują się wspaniale. Idą równym miarowym krokiem mocno, ale i lekko zarazem. Od razu widać, że to stary, ćwiczony żołnierz, choć wielu tym weteranom kampanii polskiej i francuskiej, ledwie się wąs sypać zaczyna.

Przeszli! Wodzowie żegnają się z dowódcą “czarnej brygady” i jadą na oglądnięcie ostatnich w tym dniu ćwiczeń. Po półgodzinnej jeździe “lądujemy” w sąsiednim miasteczku, gdzie odbywa się właśnie załadowanie oddziału do kilkunastu specjalnych, wojskowych autobusów. Na tym jednak trzeba przerwać ćwiczenia, ponieważ trudności techniczne i zbliżający się wieczór nie pozwalają na ich pełne rozwinięcie i przeprowadzenie.

Korowód aut rusza w drogę powrotną. Na krótko tylko zatrzymują się przy kolumnie czołgów, która ciągnie na szosie. Kończy się krótki zimowy dzień; na zachodzie palą się jeszcze obłoki krwawym odblaskiem słońca, a już wstępuje na niebo księżyc wyłaniając się majestatycznie z poza wzgórz “polskiego frontu” w Szkocji.

Ludwik Bojczuk

Z kampanii francuskiej

Jedziemy na front

Ruszyliśmy. Z prawdziwą rozkoszą wyciągam nogi w przyczepce naszego "Indiana," postawionego między innymi na lorze pociągu towarowego.

Jest mi wygodnie i ciepło. Mijamy malownicze domki i skwery Massy Palesseux. Toż to już przedmieście Paryża. Budynek stacyjny "metra" pobudza przytępione zmęczeniem nerwy. Myśl, że za kilkanaście minut mógłbym jeszcze zobaczyć i pożegnać moich przyjaciół paryskich, przesłać za ich pośrednictwem może już ostatnie słowa pożegnania staruszce matce, męczy mię jak zmora. Jedziemy przecież na front. Gdzie? Nie wiemy.—Tajemnica wojskowa, niedostępna dla nas szeregowych.

Rozglądam się ciekawie po okolicy, chcąc zorientować się co do kierunku jazdy. Dzień jest jakiś dziwny, koloryt nieba nienaturalny. Jakaś żółto-szara mgła zasłania widoczność. Co to jest? Czy to nieznany wybryk natury czy efekty pracy chemików?

Słyszę za sobą urywek rozmowy. To chyba sztuczna osłona przed bombardowaniem. Świetnie. Będziemy więc mieć przynajmniej jakiś czas spokój, pogoda nie nadaje się do sportowych wyczynów bombowców niemieckich—cieszy się któryś z kolegów.

Oglądam się. Rozmawiają moi koledzy z plutonu. Zaczynam się im przyglądać dokładniej. Znam ich bardzo mało. Na własną prośbę zebrani z różnych oddziałów przed paru zaledwie dniami—nie mieliśmy po prostu czasu na zamienienie z sobą bodaj kilku słów szczerej rozmowy. W ostatnim tygodniu odrabialiśmy zaległości kilku miesięcy. Zarzuceni wprost lawiną nowych mundurów, ekwipunku, broni i sprzętu motorowego, nie mieliśmy nawet czasu na jedzenie, nie mówiąc już o spaniu ograniczonym do minimum. Czas wypełniony bez reszty, nauka jazdy na naszych całkiem nowych, niedotartych jeszcze motorach, ćwiczenia praktyczne z francuskimi ręcznymi karabinami maszynowymi, których żaden z nas nie miał dotychczas w ręku, ich konserwacja, strzelnica, warty i ciągłe ostre pogotowia absorbowały nas zupełnie i nie pozwoliły na bliższe poznanie się z sobą.

A przecież pluton nasz liczący zaledwie 24 ludzi miał niecodzienne, o ile chodzi o skład osobowy, oblicze. Wszyscy w nowych mundurach, pancernych stalowych hełmach i długich pelerynach, zarzuconych niedbale na ramiona wyglądają jednakowo.

Wdaję się z nimi w rozmowę. Dziwna mieszanina—kilku studentów politechniki, adwokat, inżynier, 17-letni sztubak z Poznania, kilku zawodowych szoferów, rzeźnik, robotnicy, profesor i ziemianin, to moi towarzysze z plutonu rozpoznawczego motocyklistów. Podoficerowie także jacyś niecodzienni. Pochodzenie plutonowego zdradza lekki chód i wymowa. Toż to J. znany narciarz, zawodnik zakopiański, b. mistrz Polski a jeszcze bardziej znany kłusownik. Kapral G. to znów legionista marokański, którego po ośmiu latach służby w koloniach przygnało do Armii Polskiej w Francji poczucie obowiązku i niewątpliwie żądza przygód.

Ten ciekawy zespół ludzi dopełniała postać naszego dowódcy por. J. Młoda, ściągła twarz, oczy przesłonięte lekką mgiełką romantyzmu czy też przeżytej tragedii osobistej. Pierś zdobi krzyż "Virtuti Militari" zdobyty w pierwszych dniach września w Prusach Wschodnich. Pluton trzyma w żelaznych rękach a pomimo tego jest lubiany przez wszystkich. Więc z tym dowódcą, też b. legionistą z legendarnej Legii Cudzoziemskiej i z tymi ludźmi nie zabraknie nam na pewno emocji w czasie wojny.

Przypomniały mi się rzucone przez dowódcę naszego dywizjonu mjr. Z. słowa pod adresem naszego plutonu: "Wiem, że pod dowództwem por. J. będziecie golić jak brzytewki" oraz słowa rtm. P. "Jedziecie z J.-wrócicie wszyscy albo z krzyżami żelaznymi albo zostaną po was drewniane." Zdajemy sobie wszyscy bardzo dobrze sprawę z tego i choć serce ściska się na myśl, że może już nie zobaczymy naszych najbliższych może trochę przez snobizm, a może trochę przez ambicję staraliśmy się dostać się pod dowództwo naszego znanego z odwagi watażki.

Kości rzucone. Zbliżamy się ku naszemu przeznaczeniu. Francuskie r.k.m. dumnie sterczą ku niebu na masztach przeciwlotniczych, wbitych do drewnianych oszalowań wagonu. Amunicja leżąca w pogotowiu czeka niecierpliwie na gości z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Nieresorowane koła naszych wagonów miarowo wydzwaniają swą codzienną pieśń tułaczą. Zaczynają mnie usypiać. Zasypiam.

Nie wiem jak długo spałem. Budzi mię ruch na lorze i daleki jeszcze, ale charakterystyczny szum Dornierów. Wyskakuję z przyczepki i zakładam niewprawną jeszcze ręką magazynek do mojego r.k.m. Koło mnie staje natychmiast 17-letni "Maciuś," benjaminek plutonu. Patrzę trochę zdziwiony na jego pucołowatą buzię rozradowanego nową zabawką dziecka. Nie, ten dzieciak chyba nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Motor Dorniera gra już bliziutko. Jeden z Niemców zatacza małe półkole i pikuje na transport. Pierwsze zaszczekały c.k.m. z sąsiedniej lory. Smugi świetlnych pocisków wyraźnie wskazują ich drogę. "Za małe wyprzedzenie"—słyszę z sąsiedniego wagonu nieco zachrypnięty głos por. K. Odciągam bezpiecznik i naciskam język spustowy. Ułamek sekundy później cały pociąg zionie ogniem.

"Czarny Krzyż" widzę już prawie na 100 mtr. nad głową. Przeraźliwy świst bomby syrenowej rozdziera bębenki uszne. Instyktownie przyciskam głowę do masztu r.k.m. Cztery po sobie następujące detonacje szarpnęły pociągiem. Widzę już tylko swastykę na ogonie Dorniera. Warkot dwumotorowców słabnie. Uciekli szelmy. Pociąg staje. Wyskakujemy z wagonów-oglądamy z zainteresowaniem ślady odprysków bomb na naszej lokomotywie. Chwała Bogu tylko powierzchowne uszkodzenie. "Wsiadać, wsiadać" słyszę energiczny, męski głos mjr. Z.

Po prawej stronie w odległości około 5 m.od toru kolejowego widzimy głęboki lej, po prawej pali się stodoła katana francuskiego. Jedziemy dalej. Patrzę na zegarek-jest już 7a wieczorem. Lada chwila oczekujemy nowej wizyty niemieckiej.

Przystajemy na jakiejś stacyjce. Na sąsiednim torze staje francuski pociąg sanitarny wracający z frontu. Wdajemy się w rozmowę z rannymi. Wiemy już, gdzie jedziemy—nad Marnę. Wprost błagają o kawałek chleba. Twierdzą, że od dwu dni nic nie mieli w ustach. W pierwszej chwili nie wierzymy własnym uszom, widząc jak rzucają się na podawany im przez ktoregoś z kolegów bochenek chleba zaczynamy wierzyć w tę smutną rzeczywistość.

Wydłużają się nam twarze. W oczach tych ludzi widzimy pierwsze oznaki nieuchronnej klęski, ze słów ich wynika zupełna rezygnacja, ani cienia dalszej ochoty do walki. To już nie żołnierz polski w naszych tragicznych dniach wrześniowych, który, przekraczając w chwili zupełnej beznadziejności dalszego oporu na ziemi ojczystej, na rozkaz przełożonych przekraczał granicę węgierską czy rumuńską, klął i płakał z rozpaczy, że nie dają mu dalej walczyć i pałał żądzą odwetu. To już nie oficerowie polscy, z których wielu, gdy przyszło im jako internowanym złożyć broń, odbierało sobie życie. To ludzie którzy myślą tylko o tym, aby wrócić do domu.

Jedziemy dalej. Mamy jeszcze jedną wizytę eskadry lekkich bombowców niemieckich, ale czy to na skutek przywitania ich silnym ogniem maszynowym, czy to wobec zapadającego zmroku po zakręceniu kilku "piruetów" w powietrzu, zawracają na północ.

W chwilę później przystajemy na stacji Le Vertus. Ciemno jest zasypiamy. Mży deszcz. Nocnego rozkazu wyładowania zasypłamy. Mży deszcz. Noc jest tak ciemna, że na dwa kroki kompletnie nic nie widać. Urządzeń wyładunkowych nie przygotowano żadnych. Własnymi rękami znosimy z lor motory. To jeszeze fraszka. Gorzej jest z wyładowaniem samochodów ciężarowych, ale i to się jakoś udaje.

Podwaja siły świadomość, że z pierwszym brzaskiem dnia, wiedząc już o naszym transporcie z pewnością przylecą Niemcy i nie powinni nas już zastać przy pracy.

Nasz pluton dostaje zadanie rozpoznania terenu i wynalezienie w pobliskich lasach stanowisk dla całego dywizjonu w kierunku na Espernay.

Jedziemy. Z pierwszym brzaskiem dnia wszystkie szwadrony zajechały na miejsce przez nas wybrane. Zdążyliśmy na czas. W kilkanaście minut później dworzec kolejowy w Le Vertus został doszczętnie zbombardowany.

Obok naszych stanowisk włoką się, kierując się na południe bezładne bandy żołnierzy francuskich. Straszny to widok, Brudni, zarośnięci, bez broni, z zarzuconymi na plecy manierkami i chlebakami, podpierając się kijami, idą przez nikogo nie zatrzymywani, przez nikogo nie kontrolowani—byle dalej odejść od frontu.

Wiemy już teraz wszyscy, że elementy rozpoznawcze niemieckie w wielu punktach przekroczyły Marnę. Marna przekroczona—droga do serca Francji, Paryża otwarta. Patrząc na tych ludzi, rozmawiając z nimi, nie wierzę już w żadną dalszą obronę na liniach Loary czy Garonny. Nie, to już koniec: żołnierz francuski nie będzie się już więcej bił.

Zbladły, jakby zastygły twarze kolegów. Żaden już nic nie mówi. Pogcda jakby dostosowana do naszego nastroju. Deszcz pada dalej. Nie chronią nas już od niego ani peleryny sukienne, ani nawet płachty namiotowe-nieprzemakalne, którymi otuleni siedzimy w przyczepkach zamaskowanych gałęziami przed wzrokiem lotnika nieprzyjacielskiego motocykli, od dwunastu godzin oczekując niecierpliwie dalszych rozkazów.

Z hełmu stalowego strugi wody spływają mi za kołnierz. Prawie tego nie czuję. Myślami jestem daleko, bardzo daleko. Nad głowami naszymi latają niziutko myśliwce nieprzyjacielskie, jakby chcąc sprowokować ogień. Nie strzelamy—nie wolno zdradzić stanowisk.

Około 6 pop. słyszę energiczny głos naszego porucznika: "Zapalać motory." Z radością odrzucamy z Maciusiem gałęzie i wyprowadzamy motor na szosę. Jedziemy—.

Po 15 minutach jesteśmy na miejscu. Cudownie — mamy kwatery i to jakie—wprost łuksus. Obszerna stodoła mieści z łatwością 12 naszych motorów i zaraz druga miła niespodzianka—właścicielka fermy, o dziwo Polka zaprasza nas do swego obszernego domu, prosząc, abyśmy się rozgościli, jak u siebie i oddaje nam do dyspozycji całą bogatą śpiżarnię.

Dowiadujemy się, że ludność cywilna wsi jest przymusowo ewakuowana i w ciągu godziny musi opuścić swe domy. Podziwiam tę dzielną kobietę—z uśmiechem na ustach i tylko małym tłumoczkiem w ręku zostawia dom i cały swój majątek, owoc wieloletniej, ciężkiej pracy.

Humory naszych chłopców zaraz się poprawiają. Podział pracy dokonany. Jedni czyszczą broń i motory, drudzy, skubią kury i przygotowują lukulusową kolację, inni znowu odnaleźli w sąsiednim domu bogato zaopatrzoną piwniczkę i znoszą całymi koszami "Mumy" i Cliquoty.

"No chłopcy"—mówi nasz porucznik—"dzisiaj urządźcie sobie szampańską kolację, bo prawdopodobnie już jutro nad ranem będziemy w ogniu"—i dodaje z uśmiechem, patrząc na potężną bateryjkę butelek przygotowanych na stole—"jestem spokojny, że tego wina szwaby nie będą piły."

Po godzinie, wymyci, ogoleni zasiadamy do stołu, nakrytego śnieżno-białym obrusem, szczerze współczując rozstawionym na "czujce" kolegom. Menu ułożone przez starego "legionera" krp. G. było nadzwyczajne. Na zakąskę sardynki, wędliny, sery, potem świetny rosół z kury i drób, na deser kompoty z puszek, no i oczywiście czarna kawa, wszystko gęsto zakrapiane świetnym koniakiem, likierami i szampanem, stworzyły znakomity nastrój.

Dobrze po 11-tej wypędził nas porucznik do naszej stodoły, nakazując spanie razem, w pełnym oporządzeniu bojowym i z naładowaną bronią obok siebie, wobec niebezpieczeństwa pojawienia się dywersantów-spadochroniarzy niemieckich, względnie uzbrojonych dezerterów francuskich, ktorzy włócząc się całymi bandami i rabując, zazdrośnie patrzyli na nasze motory.

Kładziemy się pokotem na ziemi—zasypiam. Budzi mię silny blask skierowanej w oczy latarki elektrycznej i okrzyk porucznika: "Wyprowadzać motory."

Zrywam się na równe nogi i na pół jeszcze przytomny ze snu prędko zakładam na głowę hełm stalowy, który mi służył jako poduszka, silnie przytwierdzając go skórzaną podpinką pod brodę. Wrzucenie do przyczepki torby z amunicją, chlebaka i umieszczenie r.k.m. jest kwestią kilku sekund.

W parę minut później jesteśmy w drodze. Patrzę na zegarek—godzina 2,30 nad ranem. Wyrwany brutalnie z krótkiego, ciężkiego, męczącego snu, czuję się źle. Jest mi zimno w moim przewiewnym kombinezonie motocyklisty. Głowa i kości bolą niesamowicie. Gardło spalone niezliczoną ilością "trupów" wykurzonych wieczorem i spieczone gorączką usta przypominają mi wieczorną libację.

Ciemną, deszczową noc rozjaśniają jedynie błyski dalekiego jeszcze ognia artyleryjskiego. Jedziemy w milczeniu. Ponury huk pocisków przywraca mi poczucie rzeczywistości. Zbliżamy się ku pierwszej linii. Zaciągam się parę razy papierosem—jest mi lepiej. Pęd powietrza orzeźwia mnie zupełnie.

Wpadamy na szeroką szosę. Zawalona wprost samochodami, czołgami, sprzętem artyleryjskim i wozami jadącymi w poczwórnym rzędzie w przeciwnym, niż my kierunku. Bałagan nie do opisania. Porucznik, który jedzie na czole naszej kolumny, w jednej ręce trzymając pistolet, a w drugiej kij, z którego robi często użytek, już ochrypnięty od krzyku z trudem toruje nam drogę.

Mimo to jedziemy niesłychanie powoli. Szosa wprost zasłana rozbitymi samochodami i trupami końskimi. Biedne stworzenia niekarmione, przeładowane padają jak muchy. W rowie leżą porzucone karabiny i ładownice. Nikt ich nie podnosi. Ciągle objeżdżamy głębokie leje od bomb.

W bladych, zarośniętych, otępiałych twarzach uciekających bezładnie Francuzów widzę jakby cień zdziwienia, czy zażenowania na nasz widok. Wszyscy świetnie umundurowani, ogoleni, uzbrojeni po "żeby," jadący zwartą, zdyscyplinowaną kolumną w kierunku nieprzyjaciela, stanowimy jaskrawy wprost kontrast z tą zupełnie zdemoralizowaną bandą.

Słyszę ciche, jakby zawstydzone okrzyki: "*Polonais. Polonais.*" Prostujemy się dumnie. Tak! To jadą Polacy zasłaniać wasz odwrót. Walczyć nie po raz pierwszy i nie ostatni za cudzą i własną wolność.

Po dwu godzinach tej upiornej jazdy, w czasie której nie przejechaliśmy więcej, niż 12 km., szosa co raz bardziej zaczyna się opróżniać, w powietrzu czuć zapach dymu ze spalonych i zbombardowanych doszczętnie osiedli. Jeszcze tu i ówdzie przemknie się w zawrotnym tempie auto jeszcze wloką się tłumy żołnierzy francuskich "uzbrojonych" w kije i manierki, ale jest już znacznie luźniej. Trzeba dać odpocząć naszym maszynom przegrzanym ciągłą jazdą na pierwszym biegu. Skręcamy w idącą na prawo od szosy aleję parkową.

Po chwili wyrasta przed nami wspaniała prawdziwie magnacka rezydencja. Na progu pałacu wita nas złowieszczy widok. Na szeroko rozłożonym zielonym płaszczu leży trup francuskiego żołnierza. Przez rozerwaną czaszkę na skroni, rozlewa się mózg. Odrywam tabliczkę rozpoznawczą "*Pierre Martin. Avignon.*" Zostawili cię koledzy niepogrzebanego, Piotrze Martin—nie zobaczysz już więcej swej pięknej ziemi rodzinnej.

Na rozkaz porucznika natychmiast zabieramy się do kopania grobu koledze francuskiemu. Kopię chętnie, może za to i mnie kto mogiłkę wykopie. Głucho dudni ziemia po płaszczu żołnierskim. Zbicie dwóch deseczek na krzyż i umieszczenie na nim rozerwanego skrwawionego hełmu, jest kwestią jednej chwili. Robota skończona—w milczeniu oddajemy honory wojskowe zmarłemu.

Wchodzimy do obszernych sal pałacowych. Głucho dudnią podkute buciary po gładkiej posadzce. Sale wprost zawalone bronią amunicją i plecakami zostawionymi przez Francuzów. Pełne paki opatrunków, kosztowne instrumenty lekarskie walają się po ziemi wraz ze stosami próżnych butelek po szampanie.

Zmieniamy szybko bieliznę, korzystając z porzuconych plecaków, nasze zostały daleko w tyle, na wozach szwadronu gospodarczego. Impregnujemy nasze buty znakomitą wazeliną leczniczą, przeczyszczamy broń, motory, myjemy się. Jeszcze kilka twardych sucharów, popitych szampanem i jesteśmy gotowi do dalszej drogi.

Tadeusz Prus Bugayski



rys. Krystyna Kopczyńska

Spojrzenie wstecz

II*

WOJNA ROZSZERZA SIĘ

Pierwszego stycznia 1940 cztery państwa jedynie były w wojnie: Polska, Francja, Wielka Brytania i Nemcy. Dzisiaj gdy w niedzielę wieczór BBC gra hymny narodowe państw sprzymierzonych, oprócz "*God Save the King*," "Marsylianki" i "Jeszcze Polska nie zginęła" słyszymy hymny norweski, holenderski, belgijski, czeski i grecki (a w parlamencie już żądano, by grano także i abisyński hymn narodowy). Po przeciwnej zaś stronie do wojny weszły Włochy; Dania jest zajęta przez niemieckie wojska tak samo, jak i Rumunia.

Liczba państw "neutralnych" jest więc po roku znacznie mniejsza, wojna rozlała się prawie na cały kontynent europejski. A przytem i "neutralność" dnia 1 stycznia roku 1941 różni się zasadniczo od neutralności z dnia 1 stycznia 1940. Rozważenie dzisiejszego położenia neutralnych rzuci więc snop światła na sytuację tak, jak ona przedstawia się na przełomie roku.

ŻYCZLIWA NEUTRALNOŚĆ AMERYKI

Największy przełom nastąpił w sytuacji Stanów Zjednoczonych. Franklin Roosevelt od pierwszej chwili wojny rozumiał, że wynik jej dla Stanów nie może być obojętny. Od pierwszej chwili wojny kierował wszystkie swe wysiłki, by pomóc demokracjom w ich walce z barbarzyństwem hitlerowskim. Działanie jego jednak musiało być nacechowane niesłychaną ostrożnością. Prądy izolacjonistyczne w Stanach były bardzo mocne, ale nadto rok 1940 był rokiem wyborów prezydenckich i Roosevelt nie mógł partii republikańskiej dać do ręki atutu, że Stany wciąga do wojny. Dlatego też aktu neutralności Roosevelt nie ruszał zupełnie. Przeprowadził jedynie przez Izby klauzulę *cash and carry*, to jest pozwolenie na sprzedaż broni jedynie tym państwom, które zapłacą gotówką i wywiozą broń na własnych okrętach. Praktycznie klauzula ta pozwalała na kupno broni jedynie sprzymierzeńcom, panującym nad morzami. Formalnie jednak ustawodawstwo to nie faworyzowało żadnej ze stron wojujących.

I polityka oficjalna Stanów do końca prawie roku 1940 była polityką neutralności. Niemal jedynie w wypowiedziach prezydenta, który stale oświadczał, że gotów jest dać Wielkiej Brytanii wszelką pomoc, aż do wejścia do wojny wyłącznie, w jego oskarżeniach hitleryzmu i faszyzmu wypowiadała się sympatia rządu Stanów dla Anglii. Aktów pozytywnych było mało. Z chwilą jednak, gdy Roosevelt został ponownie wybrany, gdy została zapewniona dla niego większość parlamentarna, sytuacja się zmieniła. Pomoc Stanów staje się dzisiaj pomocą czynną.

OD NEUTRALNOŚCI DO CZYNNEJ POMOCY

Cordell Hull oświadcza, że przemysł przestawia się na stopę wojenną. A sam Roosevelt w oświadczeniu dla prasy przecina węzeł gordyjski pomocy finansowej. Klauzula *cash and carry* pozwalała płacić dolarami. A zapas dolarów Wielkiej Brytanii, choć olbrzymi, nie był jednak nieograniczony. Z drugiej strony istnienie t.zw. *Johnson Act*, zabraniającego udzielania pożyczek państwom, które nie zapłaciły długów z poprzedniej wojny, nie pozwalał na powtórzenie tego, co zrobiono w latach 1914 - 1918. Wtedy sfinansowano uzbrojenie angielskie w ten sposób, że bank Morgana ulokował na rynku amerykańskim pożyczki sprzymierzonych w sumie, wystarczającej na pokrycie ich zapotrzebowań.

Z końcem roku sytuacja stała się prawie że groźna. Lord Lothian na krótko przed śmiercią w mowie publicznej oświadczył, że Wielka Brytania nie będzie już miała za co zamawiać broni w Ameryce, bo jej fundusze dolarowe są na wyczerpaniu. P. Philips, podsekretarz stanu Wielkiej Brytanii prywatnie powiedział to samo w ministerstwie skarbu w Waszyngtonie.

Wobec tego Roosevelt, który już raz zrobił wielki gest, oddając 50 kontrtorperowców wzamian za bazy morskie i lotnicze w koloniach angielskich, zdobył się na gest jeszcze większy. Anglia nie może płacić za broń. Dobrze, otrzyma ją darmo. "Jeżeli dom mego sąsiada się pali—oświadczył prezydent dziennikarzom—to dla własnego bezpieczeństwa pożyczę mu mego węża gumowego i nie będę myślał targować się o to, ile mi za to zapłaci." To "darmo" oczywiście nie będzie się nazywało darmo. Znajdzie się formuła, zapewniająca "zapłatę," czy w formie broni, czy też w formie innych produktów po wojnie. Może broń zresztą będzie tylko "wypożyczona".

Faktem, jednak jest, że za broń zamawianą obecnie w Stanach płacić będzie fabrykantom nie rząd brytyjski, ale rząd Stanów. I faktem jest, że nie będzie to pożyczka, którą trzeba będzie potem spłacać złotem, to znaczy, że nie zaciąży ona tak tragicznie nad gospodarką powojenną, jak zaciążyły po 1918 roku długi amerykańskie. Roosevelt śmiało wyszedł poza kanony kapitalistyczne.

I równie śmiało tym gestem zaangażował wyraźnie i oficjalnie Stany w walce. Pomoc finansowa tego rodzaju nie pozwala już uważać Stanów za państwo neutralne. Prezydent zresztą sam to powiedział. Na zapytanie, czy to nowe posunięcie nie grozi wciągnięciem Stanów do wojny odrzekł "Pomoc Ameryki dla Wielkiej Brytanii i wrogość państw osi wobec Stanów są już stałymi politykami".

Zastrzeżmy, że oczywiście, aby te zamierzenia Prezydenta weszły w życie, Kongres będzie musiał się na nie zgodzić. Kongres jednak ma większość demokratyczną, a sam Roosevelt jest zbyt przezornym politykiem, by takie oświadczenia składał, nie upewniwszy się uprzednio, że Kongres go poprze.

"Zwycięstwo pod Waszyngtonem," jak nazwałem ponowny wybór Roosevelta było więc istotnie decydującym momentem w rozgrywce roku 1940.

LIKWIDACJA NEUTRALNYCH W EUROPIE

Neutralność Stanów Zjednoczonych skończyła się więc z rokiem ubiegłym a i w Europie właściwie "neutralnych" w tym znaczeniu, w jakim istnieli jeszcze na przełomie 1939 i 1940 już nie ma. "Neutralni" roku 1940 to były państwa, które myślały, że zawierucha wojenna ominie ich brzegi, tak jak ominęła brzegi Skandynawii i Hiszpanii w latach 1914-1918, że potrafią pozostać biernymi widzami zmagań. Hitler przez całe drugie półrocze 1939 przysięgał, że dąży do ograniczenia walki. A Mussolini jeszcze po wbiciu Francji sztyletu w plecy (słowa Roosevelta) pompatycznie przysięgał innym sąsiadom, wymieniając i Jugosławię, i Grecję (!), i Egipt, że nic im od niego nie grozi.

Dzisiaj zaś nie tylko część tych neutralnych jest podbita przez Niemcy, ale Hitler oficjalnie zapowiedział jako cel wojny nowy porządek europejski. I już dzisiaj z gorączkowym pośpiechem ten "nowy porządek" stara się organizować nie tylko w krajach podbitych, ale i w krajach neutralnych, od których wymaga już dziś przyłączenia się t.j. poddania. Uzyskał to "przyłączenie się" na Węgrzech, które przepuściły wojska niemieckie do Rumunii, i oficjalnie do osi przystąpiły wzamian za Siedmiogród. Wymusił je na Rumunii, którą najpierw do spółki z Sowietami okroił, a potem zajął bez wystrzału.

Po upadku Francji wydawać się mogło, że żadne państwo w Europie temu naciskowi się nie oprze, że swastyka będzie panowała nad całym kontynentem. I to, że się ten plan zorganizowania całej Europy pod przewodnictwem Niemiec jednak nie udał jest znowu jednym z jasnych punktów sytuacji. Bo nie tylko, że się nie udał, ale dziś jest dalszy od urzeczywistnienia, niż kiedykolwiek. Przyjrzyjmy się bowiem tym "neutralnym" tak, jak wyglądają 1 stycznia 1941.

NEUTRALNOŚĆ OBRONNA

Więc przede wszystkim dwa kraje zupełnie otoczone i odcięte od świata zewnętrznego: Szwecja i Szwajcaria. I jeden i drugi nawet marzyć nie mogą o skutecznej obronie przeciw Niemcom (choć Szwecja może grać na niepewny, bardzo niepewny opór sowiecki, gdyby Niemcy zechcieli wkroczyć). Toteż i Szwecja i Szwajcaria spełniają bez oporu gospodarcze żądania Niemiec. I Szwecja i Szwajcaria starają się o to, by ani w prasie, ani w publicznych wystąpieniach nie można było znaleźć nic takiego, co by Hitlerowi dało pretekst do wojny.

Jednak i Szwecja i Szwajcaria nie podporządkowały się "nowemu porządkowi," który Hitler zapowiada. Unden, były minister spraw zagranicznych Szwecji mógł powiedzieć w grudniu na wiecu w Upsali "Nowy porządek" oznaczający, że państwa mniejsze muszą być zależne od wielkiego mocarstwa nie jest pociągający ani dla Szwecji, ani dla żadnego innego małego narodu. Nie chcemy być obiektami polityki egoistycznej innych państw. Szwecja myśli, że to nie "Lebensraum" wielkich mocarstw należy zabezpieczyć. Jesteśmy bardziej zainteresowani w zabezpieczeniu małych narodów, których ojczyzny są teraz zagrożone. Nie przyjmiemy nigdy teorii, usprawiedliwiającej zniszczenie i niewolę wolnych narodów w imię interesów wielkich mocarstw. Ongi pewne koła szwedzkie mówiły o "hegemonii" Wielkiej Brytanii, dziś termin ten należy zastosować do Niemiec. O ile wiem, nigdyśmy w Szwecji nie odczuli tej osławionej hegemonii brytyjskiej. Z drugiej zaś strony jasne jest, jakiej hegemonii można się spodziewać od Niemiec."

Od czasu do czasu prasa niemiecka z pianą na ustach atakuje prasę szwedzką i szwajcarską za ich "nieobiektywne stanowisko." I grozi tym państwom. A jednak Szwajcaria konsekwentnie aresztuje i więzi ajentów hitlerowskich i gnębi partie hitlerowców szwajcarskich. I można być pewnym, że gdyby wojska niemieckie zechciały siłą wprowadzić w Szwajcarii ten "nowy porządek," którego nie udało się wprowadzić dyplomacji hitlerowskiej, to mimo beznadziejności walki Szwajcarzy chwycą za broń.

Stare demokracje Szwecja i Szwajcaria opierają się więc od początku "nowemu porządkowi." Ich "neutralność" dzisiaj już nie jest neutralnością widzów, którzy nie chcą zejść na arenę. Jest pozycją obronną, pozwalającą w pewnych granicach na przeciwstawienie się Niemcom.

TĘŻENIE BAŁKANÓW

Jeszcze charakterystyczniejsza jest zmiana neutralności w krajach bałkańskich. Bułgaria wyraźnie sprzyjała mocarstwom osi. Dostała pierwszy napiwek w postaci Dobrudży. Z chwilą, gdy Mussolini ruszył na Grecję zaświtała jej możliwość otrzymania dostępu do morza Egejskiego, o którym marzyła. A wreszcie w parlamencie bułgarskim jeden z posłów zaczął już mówić o Macedonii. Bułgaria, razem z Rumunią i Węgrami miała dostąpić "zaszczytu" podpisania paktu.

I nagle zmiana dekoracji. Bułgaria do paktu osi nie przystępuje. Wzmianka o Macedonii zostaje oficjalnie potępiona. I, co najważniejsze, w Turcji, do której Bułgaria miała być drogą odwołują black-out i mówią o wycofaniu się wojsk bułgarskich z nad granicy tureckiej oraz tureckich z bułgarskiej. "Neutralność" bułgarska, która była jedynie maską współdziałania z państwami osi staje się z końcem roku neutralnością istotną. Bułgaria nie chce pozwolić na to, by jej teren stał się odskocznią dla ofensywy na Grecję, na Turcję.

I jednocześnie Jugosławia, która już była przygotowana na to, by wszelkimi poświęceniami okupić życzliwość państw osi, Jugosławia, której groził los Rumunii, budzi się także. Już wiadomo, że ani wojska niemieckie, ani wojska włoskie nie będą mogły przejść bezkarnie przez terytorium Jugosławii. Już wiadomo, że Jugosławia woli pójść w ślady Grecji, niż w ślady Rumunii.

Że to właśnie bankructwo greckiej wyprawy Mussoliniego odegrało rozstrzygającą rolę w obecnej postawie państw bałkańskich nie ulega żadnej wątpliwości. Faktem ważnym jednak jest nie przyczyna, ale skutek. Skutek, że "nowy porządek" Hitlera i na Bałkanach nie może być dzisiaj urzeczywistniony.

NIEJASNY PAKT

A czy to zachwianie nie zatoczy i dalszych kręgów? Jest pewna dziwna i niewyjaśniona sprawa. Ostatnio przy akompaniamencie surm propagandy niemieckiej i włoskiej podpisany został nowy traktat przyjaźni węgiersko—jugosłowiańskiej. Nazywa się to, że Węgry, członek paktu osi będą pomostem, łączącym Jugosławję z osią. Że traktat ten wciągnie Jugosławię w krąg włosko niemiecki. Że taki był cel Berlina i Rzymu nie należy wątpić. Że hrabia Csaky osobiście również sobie tak sprawę wyobraża, także nie ulega wątpliwości. Jest on bowiem tym politykiem, który Węgry chciał z Niemcami wiązać na śmierć i życie. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że może być i odwrotna, a nawet choć to fizycznie jest niemożliwe i—dwie odwrotne strony medalu.

Po pierwsze traktat przyjaźni traktatem przyjaźni, ale nie zawiera on zrzeczenia się pretensji węgierskich do Chorwacji i innych ziem Jugosławii. A w parlamencie węgierskim ciągle jeszcze mówią o ziemiach, które dotąd na łono macierzy nie powróciły.. Może więc oś być zmuszona wybierać między Węgrami a Jugosłowianami.

A powtóre nacjonal-socjaliści węgierscy wciąż nie tylko są w opozycji, ale nawet ostatnio chcieli porwać regenta Horthy' ego i siedzą za to w więzieniu. Czyli, dla Niemców Horthy co najmniej nie jest jeszcze zupełnie pewny. I dlatego ten most węgiersko-jugosłowiański może w oczach niektórych być mostem, po którym można pójść "i w tę i weftę."

NEUTRALNOŚĆ WYCZEKUJĄCA

Wreszcie ostatni neutralni: Hiszpania i Portugalia. Portugalia jest krajem zagrożonym. Zagrożonym nie tylko przez Hitlera i Mussoliniego, ale zagrożonym i przez Hiszpanię. Neutralność Portugalii, to neutralność obronna, tak jak neutralność Szwecji i Szwajcarii.

Z Hiszpanią natomiast sprawa przedstawia się zupełnie osobliwie. Franco doszedł do władzy dzięki Hitlerowi i Mussoliniemu. Bez pieniędzy włoskich i niemieckich, Frankowskie powstanie w ogóle by nie było doszło do skutku. Bez wojsk niemieckich i włoskich Franco nie był by nigdy zwyciężył. Reżim Franca jest reżimem faszystowskim. Sympatie więc rządu Hiszpanii od pierwszej chwili były po stronie osi. Dał tego dowód chociażby, gdy rozkazał prasie hiszpańskiej poprzeć likwidację państwa polskiego.

Póki Francja istniała, Hiszpania musiała być formalnie neutralna. Zbyt słaba jest Hiszpania Franca, zbytnio tlą się jeszcze płomienie republikańskie mimo bezlitosnych represji, by z wojskami francuskimi w Pirenejach, Franco mógł się był odważyć na otwarte wystąpienie po stronie Niemiec i Włoch. Gdy Francja upadła, zdawało się przez chwilę, że Hiszpania wstąpi do wojny. Franco w mowie oświadczył, że Hiszpania nie jest neutralna, a jedynie "niewojująca." Przejął więc tę samą formułę, której Mussolini używał aż do chwili, w której w nadziei taniego zwycięstwa posłał swe wojska do nieszczęsnej Mentony.

Istotnie udział Hiszpanii w wojnie zwycięskiej dla osi obiecywał ponętne zyski. Marokko francuskie, Gibraltar, ba może i Katalonia francuska i francuski kraj Basków uśmiechały się neoimperjalistom Falangi. I pierwszy krok został uczyniony. Tanger, podlegający kontroli międzynarodowej, został zajęty przez wojska hiszpańskie.

W miarę jednak, jak się okazywało, że upadek Francji nie oznacza końca wojny, że Anglia broni się dalej, stanowisko hiszpańskie stawało się co raz ostrożniejsze. Prasa, co prawda, równie posłuszna jak prasa niemiecka czy włoska, dalej angażowała się po stronie Niemiec. Ale ani wizyta Serrano Sunera w Berlinie, ani spotkanie Hitler-Franco pozytywnych rezultatów nie dały. Hiszpania nie tylko nadal jest "neutralna," ale zawiera układ handlowy z Wielką Brytanią, stara się asekurować na dwie strony. Franco co prawda jeszcze oświadcza nowemu posłowi francuskiemu, że bardzo się cieszy z rewolucji francuskiej, ale że Francja nie powinna zapomnieć o słusznych pretensjach hiszpańskich, jeżeli chce żyć z Hiszpanią w przyjaźni Prasa hiszpańska wciąż krzyczy "Gibraltar," ale jednocześnie inspiruje się prasę zagraniczną, że o ile Niemcy by chciały przejść przez Hiszpanię, by zaatakować Gibraltar, to Hiszpania się zbrojnie temu oprze.

OFICJALNA NEUTRALNOŚĆ RZĄDÓW I MILCZĄCY UDZIAŁ NARODÓW W WOJNIE

Franco ciągle jeszcze gra, i gra dzisiaj o wiele ostrożniej, aniżeli w lipcu, czy sierpniu. Oczywiście i jemu upadek Włoch dał dużo do myślenia. A zresztą Hiszpania jest i tak wygłodzona, blokada zaś angielska sprowadziłaby wprost katastrofę.

A wreszcie po za Franco istnieje naród hiszpański. Ten element dotychczas pominęliśmy w naszych rozważaniach. Mówiliśmy o polityce i neutralności rządów. Obok rządów są jednak i narody. I nawet w państwach niedemokratycznych, nawet w państwach gdzie rządzi się "autorytatywnie" z tym, co naród myśli trzeba się liczyć.

Bułgarię od stoczenia się po równi pochyłej powstrzymał nietylko zimny rachunek strategiczny króla Borysa. Powstrzymała ją świadomość króla, że naród bułgarski nie chce walczyć przy boku Niemców, że może grozić rewolucja. Tak samo i w Jugosławii opór przeciwko osi, opór przeciw poddaniu się Niemcom wychodzi od studentów uniwersytetu, od robotników, od mas chłopskich Serbii i Chorwacji. I politycy jugosłowiańscy muszą się z tym liczyć. Słabszy, ale niewątpliwie istniejący jest napór mas chłopskich i na Węgrzech.

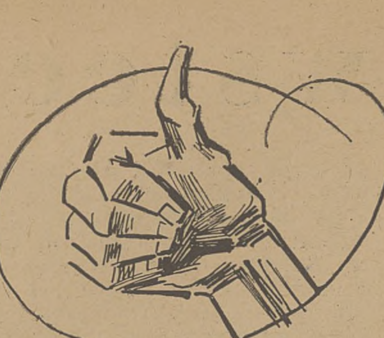
A dla Hiszpanii największym ryzykiem wojny jest nie pewny zupełnie głód, ale właśnie te wielomilionowe masy republikańskie. Dziś one milczą, bo milczeć muszą, ale w chwili, gdyby Franco kazał się im bić za Hitlera i Mussoliniego chwyciłyby za broń jako . . . sprzymierzeńcy Wielkiej Brytanii.

Narody Europy nie są "neutralne." I to głównie hamuje pochód "nowego porządku" hitlerowskiego w państwach "neutralnych."

Czesław Poznański

---

* Por. pierwszy artykuł tego cyklu w nr. 41-42 "Polski Walczącej" z poprzedniego roku. Oświetlał on sytuację strategiczną w świecie objętym wojną. Niniejszy artykuł zajmuje się sytuacją dyplomatyczną. Zamknie ten cykl artykuł, omawiający położenie krajów podbitych.



Auto-Stopem

Minęła doba rekordów, korci mnie jednak przyznać się do jednego, który "popełniłem" na spółkę z podobnym mnie łazikiem, Januszkiem Wieniawą.

Proszę tylko nie sądzić, że będę pisał o rekordowym bujaniu na temat wojennych przeżyć; o rekordowym dekownictwie czy też o tym jak rekordowo, w przeciągu tygodnia, własną, nieopatentowaną jeszcze metodą, nauczyłem się rozmawiać ze Szkotkami.

Broń Boże. Dla przyjemności tylko tego, kto kiedyś będzie opisywał "epopeję" polskich wiarusów na ziemi szkockiej czy angielskiej, chcę podać tutaj swe wrażenia z rekordowej jazdy auto-stopem. Wiecie chyba o co chodzi. . . . Staje się na szosie, podnosi do góry kciuk lewej ręki—no i jedzie się, dokąd szofer zechce zawieść.

Przyszło mi do głowy, by wypełnić ten niezapisany jeszcze rozdział historii "Armii polskiej w Wielkiej Brytanii," gdy jeden z moich znajomych pochwalił się, iż dostał wczoraj "lift" (angielska nazwa auto-stopu) z Hampstead na Victoria, zarobiwszy przy okazji bodaj że sixpensa, którego musiałby wydać na autobus. Uśmiechnąłem się wówczas pobłażliwie. Nie dlatego, żebym i ja nie gardził uprzejmością Londyńczyków i nie przysiadał się do wehikułów zaopatrzonych w nalepkę "*free lift*" (szczególnie zaś takich, gdzie przy kierownicy siedzi czarująca blondynka w mundurze!)—ale żeby się tym chwalić na publicznym miejscu. . . .

—Shocking! — stwierdziłby Anglik. Ja bo trzy razy takim "*free liftem*" z dalekiej Szkocji do Londynu i z powrotem jeździłem, dobrych parę funtów na tym zarobiwszy (to znaczy—właściwie nie zarobiłem nic, bo i tak na kolej nie miałem), a dotychczas o tym rekordzie milczałem. Ale ów chwali-gęba rozeźlił mnie nieco i pragnę, by dowiedziawszy się o moim "lifcie" pozieleniał.

* * *

A działo się to jeszcze w błogim okresie, poprzedzającym ukazanie się rozkazu zakazującego jeżdżenia "auto-stopem" (co zaznaczam, chcąc być w spokoju nie tyle z własnym sumieniem, ile z kanarkami). . . .

Mokro i nader nudno było w szkockim lasku, gdzieśmy rozbili nasze wigwamy. Toteż, gdy pewnego deszczowego popołudnia, mój kumpel, Janusz Wieniawa (ten z pod Kutna—znacie go?) zauważył, skrobiąc się za uchem, iż warto by wytknąć nosa na szeroki świat—przyklasnąłem tej myśli.

—Ale gdzie pojedziemy, i za co? —martwił się, zaglądając do próżnej portmonetki (w on czas jeszcze egzystowaliśmy za sixpensa tygodniowo).

—Jakto gdzie? Do Londynu bracie, do stolicy. Mam dosyć prowincji. Łaknę kultury i gastronomicznych podniet.

Stanęło. Bomby jeszcze wówczas nad Tamizą nie wybuchały, o "przepustkę" nietrudno było, a co najważniejsze (i co przyznam się szczerze dało mi natchnienie na jazdę do Londynu), mieliśmy zapewnione bezpośrednie połączenie z Manchesterem, codziennie bowiem przejeżdżał szosą koło naszego lasku samochód ciężarowy, wiozący towary do tego miasta. A przecież Manchester to połowa drogi do Londynu. . . .

. . . Zapadał zmrok. Klnąc na francuskie, przemakalne buty (byliśmy jeszcze w mundurach francuskich, podobni do jakichś albańskich raubritterów), przebrnęliśmy podmokłą łączkę, przeleźli zaporę drutu kolczastego odgradzającą nas od szosy, i stanęliśmy na czatach. W kieszeni brzęczało mile 10 (słownie—dziesięć) szylingów (wynik towarzyskiej, aczkolwiek niezbyt dobrowolnej składki w namiocie), serca były pełne nadziei.

—Czy aby jesteś pewien, że przyjedzie?—niepokoił się mój kumpel, wytrzeszczając w przestrzeń swe krótkowzroczne ślepka.

—Absolutnie! Mamy jeszcze godzinę czasu. . . .

Na co w myśl przysłowia "uderz w stół . . ." zawarczał w pobliżu motor i zza zakrętu wyjechała na nas, niczym smok sięgająca wierzchołków szkockich świerków—ciężarówka.

—Otóż i jest!

Wyciągnęliśmy znacząco kciuki. Wiadomo, międzynarodowy znak porozumiewawczy, przez masonów bodaj wymyślony. Ale grunt że działa! Szofer, zgoła pojętny chłop, zrozumiał, zahamował i—rozpoczęliśmy "pierwszy etap."

W ogóle droga do czy z Londynu rozkłada się na auto-stopowe etapy. Lepsze lub gorsze, dłuższe lub krótsze. Właściwie można by o nich specjalną broszurkę napisać, gwoli ułatwienia jazdy autostopowcom. Jakiegoś małego Baedeckera wydać.

Najłatwiejszy etap to droga z mp w Szkocji do Manchesteru. Ruch nocny. Szoferzy uprzejmi, zawsze zabierają. W Manchesterze jest się rano. Akurat można zdążyć na śniadanie. Gorzej z etapem powrotnym, z Manchesteru. Najlepiej umówić się z szoferem, z którym przyjechało się do miasta, by tego a tego dnia tam i tam czekał na ciebie. Jednakże jest to, jak wykażę niżej, dosyć ryzykowna metoda. W ten mniej więcej sposób, stylem trampów Londona można by opisać lapidarnie i inne etapy. Może to kiedyś zrobię.

Chwilowo rozpoczynaliśmy pierwszy etap, z nozdrzami pełnymi "kurzu szerokiego szlaku," zgnieceni w budce szoferskiej, gdzie prócz nas i naszych wypchanych po brzegi chlebaków (żaden szanujący Francuz by się ich nie powstydził) był jeszcze szofer i jego pomocnik. Ale to już mniejsza. W namiocie spało nas dziesięciu i nikt nie narzekał, choć miejsca nie było wiele więcej!

Właściwie jednak dopiero "szerokim szlakiem" angielskich dróg odetchnęliśmy na pierwszym przystanku, w stereotypowej szoferskiej herbaciarni. Tym to, specjalnie dla szoferów ciężarówek przeznaczonym przybytkom rozkoszy, również należy się specjalna wzmianka w podręczniku zawodowego auto-stopiarza. Różne są. Mniej lub więcej komfortowe, czasem zgoła z czterech desek zbite. Rozsiane po wszystkich drogach a poznać je można od razu po szeregu stojących przed nimi ciężarówek.

Oglądano nas w tych "teehousach" niczym zoologiczne okazy. Macano niemal i dopytywano czy może z Abisynii, jako że wówczas jeszcze, w tych przedhistorycznych dla Armii polskiej w W Brytanii czasach, nie nosiliśmy gwoli ułatwienia orientacji tubylcom, napisów "Poland." Te całkiem swoiste "kafejki" są pełne tak w dzień jak i w nocy. Zajedziesz do nich żołnierski trampie a obsiądzie cię zaraz szoferska brać, Angliki czy Szkoty, o typach buldogów (à la Churchill) lub rasowych koni (à la Lord Halifax) zaczną częstować papierosami, herbatą i dalej wypytywać. Co do tego też można schemat ułożyć.

np: pytanie nr. 1—"Jak się wam podoba w Anglii /Szkocji?/"



—oczywiście wiadomo, że bardzo, a jedyny minus to pogoda, ale o tym lepiej nie mówić.

pytanie nr. 2: "Jak długo potrwa wojna?"—odpowiedź—jak kto uważa. Lepiej mowić jednak, że niedługo, bo to sprawia lepsze wrażenie. Ludziska zawsze wolą się łudzić!

i wreszcie pytanie nr. 3—"prawda jaka ładna pogoda?"—(a bodajby ją!)—na to pytanie lepiej udać głuchego, chyba żeby naprawdę pogoda była ładna—co raczej jednak skłonny jestem między bajki włożyć.

itd, itd. . . . Pytania te zadają wszędzie i wszyscy. W każdej złapanej ciężarówce trzeba na nie odpowiedzieć, w każdym "teahousie" okupić się nimi za poczęstunek, który przyjąć trzeba, gdyż ofiarodawcy sprawia to przyjemność (rewanż, jeżeli coś niecoś brzęczy w kieszeni—pożądany na następnym przystanku, w następnej herbaciarni).

Oczywiście najprzyjemniej jest, gdy przysiądzie się do stolika sama właścicielka "tea-housu" i dowiedziawszy się, że jesteś Polakiem postawi grzecznie herbatę, ciastka lub zgoła "*eggs and bacon.*"

Czasem gdzieś w górze zawarczy motor samolotu. Uniosą się głowy, w pół ruchu wstrzyma się dłoń rzucająca strzałkę do tarczy, z kąta padnie jakieś soczyste "*damn . . .*" i to wszystko. "*Business as usual.*" Kto by się przejmował!

Ale, wracając do samej podróży. . . . Większość drogi do Manchesteru odbyliśmy już wewnątrz smoka-ciężarówki. Było nieco wygodniej, niż w budce szofera, choć skóry, na których rozłożyliśmy nasze graty niezbyt przyjemnie pachniały.

Rano byliśmy w Manchesterze. Trzeba było szukać dalszego "liftu." I wysunęło się kardynalne zagadnienie, stające na każdym kroku przed auto-stopowym trampem. Jak w mieście znaleść odpowiedni samochód, jadący tam, gdzie się chce jechać? Trzeba się było wydostać na londyński "trakt," jak najdalej za miasto, i tam dopiero próbować szczęścia.

Gdyśmy tak paradowali po Manchesterze, w skórzanych sztylpach, szerokich, kawaleryjskich płaszczach francuskich, niegdyś brązowych beretach, z chlebakami przewieszonymi przez ramię, wyglądaliśmy zgoła jak trampi z powieści Londona. Nie dziwota więc, że niemałą sensację budziliśmy w spokojnym mieście angielskim. Obeszło się jednak bez zbiegowiska.

'Zdecydowani wydać pierwsze od początku podróży szylingi, wsiedliśmy w tramwaj z zamiarem ujechania nim, jak się da najdalej. Ale Manchester okazał się nie gorszym od innych miast Anglii czy Szkocji. Konduktor tramwaju nie tylko, że pieniędzy żadnych nie przyjął (czyli że jechaliśmy nowym tramwajo-stopem!), lecz jeszcze na jakimś tam odpowiednim skrzyżowaniu począł łapać dla nas "lift." Pomagał mu w tym motorowy, więc po pięciu minutach stworzył się zator na linii, przypominający dobre czasy pokojowe. "Lift" rzeczywiście złapali a jeszcze poczciwy konduktor obdarzył nas tablicą czekolady! Co tu dużo mowić. Porządne chłopy są z tych Brytyjczyków. A już szczególnie trampie auto-stopowy pamiętaj, że w Manchesterze przyjmą cię zawsze z otwartymi rękoma!



Cóż powiedzieć o drugim etapie? Trudny jest, bodajże najtrudniejszy. Za jednym zamachem nie da się go odwalić. Trzeba liczyć na trzy do sześciu przesiadek, nim ujrzysz wysoką wieżę katedry w Coventry (jeszcze stoi).

Za pierwszym razem mieliśmy szczęście, bo choć "lift" złapany nam przez tramwajarzy okazał się krótkotrwały, lecz primo-szofer zaprowadził nas do swoich dwóch starych ciotek, które ugościły nas truskawkami i pobłogosławiły na drogę, sekundo—zaraz złapaliśmy prywatny "lift," który dowiózł nas do samego Coventry.

Parę słów co do prywatnych liftów. Raczej trzeba ich unikać. Są bardzo krótkotrwałe—powód, brak benzyny. Poza tym posiadają ten duży mankament, że właściciele są zazwyczaj bardzo rozmowni, co jest nużące, gdy się zna język a już wręcz niemożliwe do zniesienia, gdy się go nie zna.

Jednak za tym pierwszym razem mieliśmy dzikie szczęście. Gość początkowo był nawet podejrzliwy (ano w naszych mundurkach mogliśmy za spadochroniarzy uchodzić) i nawet papierki sprawdzał, ale gdy się potem rozkręcił to nie było baru po drodze, żebyśmy w nim kufla piwa nie wypili a na dobitek jeszcze lunch postawił w jakiejś oberży. A jak się miękko siedziało. . . .

Ostatni wreszcie odcinek, Coventry—Londyn, bardzo łatwy. Złapaliśmy na nim jakiegoś szaleńca. Normalny szofer angielski jeździ wolno i ostrożnie, nie wymija niepotrzebnie, nie wariuje. Ten jednak był jakimś odszczepieńcem. Ciężarówka była gruchotem, nadającym się na przetopienie na Spitfajra, a walił nią nie niżej, jak 50-60 mil na godzinę, nie dając się nikomu wyprzedzić i nie znosząc widoku jakiegoś innego samochodu przed sobą. Poza tym odznaczał się miękkim sercem. Gdyśmy dojechali do Londynu, prócz nas dwóch siedziało w ciężarówce z dziesięciu żołnierzy JKMości, przyczem trzech ze swojemi bogdankami.

Tak to dojechaliśmy do stolicy Imperium. Ale przyszedł i dzień, w którym zgodnie z nakazami przepustki trzeba było stolicę tę opuścić. Oczywiście znowu autostopem. Mieliśmy już przecież praktykę, no i gwoli zabezpieczenia, umówione rendez-vous z naszym pierwotnym lifciarzem w Manchesterze.

I trzeba trafu, że smok-ciężarówka nie zjawiła się na umówionym miejscu o umówionej porze. Do Manchesteru poszło wszystko gładko o tu nagle stop. Godzina 9-ta wieczorem. Na drugi dzień rano mamy już być na zbiórce w szkockim lasku, a liftu jak nie ma tak nie ma!

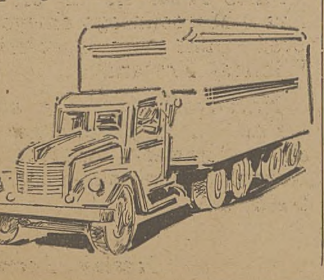
Stoimy tak na środku ulicy, otoczeni paroma obywatelami manchesterskimi, dwoma umundurowanymi "Bobby" i jednym tajniakiem, zastanawiając się, co by tu zrobić (każdy na swój sposób chce nam pomóc, z zaproszeniem na kolację przez tajniaka włącznie) gdy nagle zza rogu wyjeżdża nasz smok-ciężarówka.

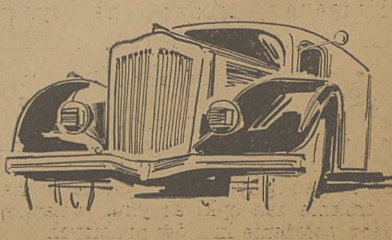
Podniosłem krzyk, tajniak zaczął jak wariat gwizdać na policyjnym gwizdku, lecz wszystko na darmo. Szofer nie zauważył nas i pojechał. Sytuacja zdawało się przepadła—gdy tajniak (chłop widać z głową na karku) nie wiele się namyślając zatrzymuje pierwszy z brzegu prywatny samochód, wsadza nas do niego i właścicielowi każe pełnym gazem gonić zbiegłą ciężarówkę. Czułem się po raz pierwszy niczym na amerykańskim filmie. Gangsterów tylko brakowało i małej strzelaniny.

Ale "lift" złapaliśmy, tyle że był nieco mniej przyjemny, bo spędziliśmy noc miast na skórach—na skrzynkach z serami, i gdyśmy rano stawili się w naszym lasku, wyproszono nas uprzejmie z namiotu, każąc się wywietrzyć.

Uważaj więc auto-stopowy trampie na to, na czym siedzisz!

Jacek Brzezina
zdobił Tadeusz Lipski





Z życia obozów

Felieton o chórach

Od dzieciństwa nie miałam do chórów specjalnego nabożeństwa. Niechęć ta datuje się od pewnego popołudnia, gdy wolno, ze spuszczoną głową wracałam ze szkoły do domu, niosąc pod pachą cenzurę, którą szpeciła czerwonym atramentem postawiona dwója ze . . . śpiewu. Rozmowa z rodzicami była burzliwa, oczywiście jednostronnie, a ojciec mój dowodził, że jeśli uda mi się schwycić odpowiedni moment, z pewnością poprawię ten hańbiący stopień. Nie miałam wprawdzie żadnej ambicji w tym względzie, ale dla świętego spokoju szukałam odpowiedniej chwili wyróżnienia się w przeklętym śpiewie.

Okazja nadarzyła się niebawem. Właśnie pewnego dnia śpiewałyśmy chórem, gdy wszedł inspektor. Nauczycielka poczerwieniała, spojrzała na nas błagalnie i podniosła pałeczkę do góry.—"Teraz albo nigdy"—pomyślałam w swej niemądrej, ośmioletniej łepetynie i wzniósłszy oczy do góry, zaczęłam śpiewać pełną piersią i z całego serca. Nie wiem, jak długo to trwało, lecz w pewnej chwili zobaczyłam przed sobą zrozpaczoną twarz nauczycielki. . . . Inspektora już nie było.—"Idź w tej chwili do domu. Jutro niech przyjdzie matka. Tak mnie skompromitować, ty niedobre dziecko"—Z płaczem zabrałam się do domu, nie rozumiejąc o co chodzi. Przecież się tak starałam!

Z biegiem lat, po wysłuchaniu wielu wspaniałych zespołów, chóru Dana czy Juranda, po chórach akademickich gdzieś nad brzegiem jeziora Drywiata na Wileńszczyźnie przy zachodzącym słońcu, po chórach flisaków na spływie Wisły, a nawet po szkolnych chórach dzieci polskich z Gdańska, rozczulających swym zapałem i złą polszczyzną—zmieniłam zdanie, lecz nie lubiłam się do tego przyznawać i zwykle biłam brawo z pewną rezerwą, by "i Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek."

Lecz nowinę o występie polskiego chóru wojskowego w naszym małym szkockim miasteczku przyjęłam z radością. Zawszeć to atrakcja, zresztą będą śpiewać po polsku i polskie piosenki, a że chórem, trudno każdy Pana Boga chwali—jak umie. Toteż, gdy gospodarze zapytali mnie tym swoim szkockim akcentem, który za każdym razem wywraca moje przekonanie, że umiem po angielsku, czy idę z nimi na koncert, wykrzyknęłam z ochotą: "*Sure*"—zapomniawszy, że nie znoszą tych "amerykańskich wyrażeń."

Nie byłabym kobietą, gdybym nie lubiła plotek. To też zanim nadszedł dzień koncertu, wiedziałam już, że Anglicy nakręcili kilka piosenek tego chóru na płyty. . . .

. . . że jeden z dzienników największego miasta w Szkocji napisał: "Smutno nam teraz będzie, gdyż odjeżdża "nasz" piękny chór żołnierzy polskich"—

. . . . że dowódca brygady, do której należą, zasypywany jest zaproszeniami różnych miast, a że są żołnierzami i śpiewają tylko w chwilach wolnych od zajęć, mają zamówienia na wiele tygodni na przód . . .

. . . że bilety są zwykle na długo przedtem wykupione, a ponieważ sale w mniejszych miasteczkach są niewielkie, stale są kłopoty, co zrobić z ziemianami, którzy nadjeżdżają z daleka bez biletów i ani słyszeć nie chcą by wracać do domu . . .

. . . że tym razem na przyjechać autentyczna księżna i wreszcie,

. . . że podobno, gdy chłopcy pierwszy raz zaśpiewali jakąś piosenkę po szkocku, słuchający Szkoci orzekli, że polski język nie jest jednak tak różny od angielskiego, gdyż czasami jakby jakiś dźwięk był znajomy. . . . Ale to mogły być tylko złośliwe plotki.

Gdy stwierdziłam taką sławę tego chóru, zagrała we mnie krew dawnej felietonistki i postanowiłam uzyskać garść prawdziwych nowin w postaci regularnego wywiadu. Dowiedziałam się, gdzie odbędzie się próba i idę tam, kierowana dźwiękami znajomych melodii. Zbliżam się do drzwi sali i słucham.—"Poczekam do przerwy, by poprosić kierownika chóru o wywiad"—myślę sobie i stoję w ukryciu. Za chwilę zapominam o rzeczywistości i cała zamieniam się w słuch . . . wtem lekkie kichnięcie, śpiew urywa się, a jasny mocny głos dyrygenta brzmi donośnie w soczystej wojskowej mowie:

—"Ja Pana wyrzucę na zbity p . . .! Kichać się panu zachciało. Może pogoda panu nie dogadza, co?—Pan mówi, że to był odruch? Już ja się postaram, by pan w szpitalu leczył takie odruchy!"—

Rzęsisty chóralny śmiech odpowiedział na to wymyślanie, więc widocznie to nie było takie groźne, a wiadomo, że dyrygenci, milczący podczas koncertu, muszą się wyładować podczas prób, ale wolałam się wycofać dyskretnie, zrezygnowawszy z wywiadu. Wspomnienia z dziecinnych lat obudziły się z całą siłą. "To jednak musi być straszne śpiewać w chórze"—pomyślałam po raz tysiączny może w życiu.

Wreszcie nadeszła godzina występu.

Międzynarodowym zwyczajem niezepsutych prowincji na sali pełno już na kilkanaście minut przed rozpoczęciem. Rozglądam się, aż miło spojrzeć! Kogo tu nie ma! Jest i mer i generał i właściciele farm i zameczków, Szkoci i nasi gęsto pomieszani.

Obok mnie ogromny sierżant mówi huczącym basem do dwuch mizerniejszych kolegów:—"Mówicie że tu kiepska pogoda i wciąż leje? Zdaje wam się tylko. Dlaczego *ja* się nie zaziębiam, dlaczego *ja* nie nam kataru?"—Dla lepszej ilustracji swego zdrowia, uderzał się dłonią po rzeczywiście imponującym brzuchu i klatce piersiowej—"mówię wam, że jesteście mamine synki. . . ."

Z drugiej strony siedziało piękne dziecię wzgórz szkockich, skłaniając się mimo woli w stronę towarzyszącego jej urodziwego podporucznika polskiego. Niebieskie oczka mówiły jasno, że z góry jest przekonanana, iż kompatrioci jej podporucznika śpiewać będą bardzo pięknie, bo inaczej po prostu być nie może. Włosy o czerwonawym odcieniu i piegi (w tym wieku to tragedia) na młodej buzi ładnie kontrastowały z kolorem oczu i jasną czupryną podporucznika i mimo woli ściągały mój wzrok.

Dalej siedział pan porucznik rezerwy, starszawy poważny pan, z pewnością były dyrektor dużego, pomyślnie rozwijającego się przedsiębiorstwa. Był także zapewne członkiem popierającym jakiegoś klubu artystycznego. Mówiła o tym wyraźnie jego mina: Nie takie chóry się słyszało. . . .

Ale oto wchodzą chłopcy na scenę. Starsi i młodzi, różnej tuszy i szarży, lecz wszyscy wyglądają "bojowo." Jest ich czterdziestu kilku. Słowo wstępne i rolę speakera obejmuje sam mer, który w słowach pełnych dowcipu opowiada barwne fragmenty z przyjaźni szkocko-polskiej i zachodzące nieporozumienia językowe. Podkreśla też, że wszyscy są rozczuleni pilnością, z jaką Polacy starają się poznać ten kraj i jego język. A dziś Szkoci będą mieli okazję poznać odcinek twórczości polskiej. . . .

Program rozpoczyna się, jak przystało, od "Bogurodzica." i poprzez "Sztandary na Kremlu" i inne dochodzi do arii ze "Strasznego Dworu" odśpiewaną przez solistę, tenora. Później lżejsze rzeczy, jak "Czas do boju, czas" i "Z tamtej strony jeziora." Chór bardzo zdyscyplinowany, doskonale kierowany przez dyrygenta, którego olbrzymi wysiłek i staranne opracowanie widać na każdym kroku. Zresztą pałeczka dyrygenta spoczywa w rękach niebylejakich, bo byłego kierownika muzycznego radia lwowskiego i dyr. "Echa" lwowskiego, jak objaśnił mnie uprzejmie kierownik chóru, śpiewający zresztą również w zespole.

Wreszcie usłyszeliśmy drugiego solistę, basa. Głos o dużej skali, bogaty, doskonała aparycja zewnętrzna, swoboda i brak pozy, robiły jak najlepsze wrażenie a aria ze "Strasznego dworu" przyjęta była niezwykle gorąco. Na bis—odśpiewał pieśń szkocką i trafił widocznie wprost do serc słuchaczy, gdyż oklaskiwano go z zapałem.

W drugiej części koncertu oczekiwała zresztą naszych zacnych gospodarzy jeszcze większa niespodzianka, gdyż chór odśpiewał trzy popularne pieśni szkockie, między nimi "*Hundred pipers*"—czyli "Stu kobziarzy." Każdą z nich przyjmowano bardzo żywo, a nastrój na sali stał się naprawdę serdeczny. Nasze "W murowanej piwnicy," "Dalej chłopcy, dalej żywo," wreszcie niezastąpiony "Umarł Maciek, umarł" i "Podkóweczki dajcie ognia" wywoływały entuzjazm i burze oklasków.

Dyrygent dyrygował już nie tylko swoimi chłopcami, ale nastrojem całej sali. Szkoci zasłuchani kiwali głowami w takt muzyki i smętnieli, gdy pieśń była rzewna. Agdy piękny bas oznajmił, "że jeśli zginie, to nikt nie śmie płakać po nim, chyba jego matka" — spojrzałam niechcący na grubego sierżanta. — "A niech go"—zaklął z podziwem i starannie począł obcierać nos w jego górnej części, która to operacja wydała mi się podejrzana.—"Macie rację, chłopcy, łatwo się tu zaziębić"—rzekł na swe usprawiedliwienie do towarzyszy.

A co mój drugi sąsiad, p. porucznik rezerwy? Stracił swą wyniosłą minę znawcy, widocznie rozgrzał się, bo też miły Boże! kogóż by nie rozgrzał nasz "zbójnicki!" — Wspomnienia cisną się całą siłą. Przenosisz się człecze do Zakopanego, jakbyś widział naszych górali i nasz Kasprowy, i Kraków i Mazowsze i "podkówecki, co dają ognia!" Lecz wspomnienia te, choć rozrzewniają, lecz dziwnie nie budzą bólu.

Chór ten spełnia bez wątpienia wielką rolę propagandową, pomijając fakt, że zasila dochodami angielski fundusz obrony kraju, czasem nasz Czerwony Krzyż, czy Fundusz Oświatowy.

W czasie koncertu nasunęła mi się pewna uwaga: Anglia—to kraj tradycji. Wszystko co dawne, co stare, cieszy się jak największą uwagą i szacunkiem. Dlatego przydało by się, gdyby przed taką pieśnią jak np. "Bogurodzica-Dziewica" objaśnić publiczność, że jest to pieśń religijna, którą prawie już 1000 lat temu śpiewali polscy rycerze przed bitwą, jadąc bronić Świętej Sprawy.

Poza tym jednym z najlepszych numerów koncertu jest pieśń o "Florianie Szarym." I tu wydaje mi się, że pieśń ta jest tak aktualna ma tyle głębokiej treści i najlepiej tłomaczy fatalne położenie Polski i Jej największe nieszczęście: źli sąsiedzi, co podkreślił ten słynny rycerz w bitwie pod Płowcami już w roku 1331, że warto by przy okazji jej śpiewania objaśnić treść słuchaczom. Nie zapominajmy, że zależy nam bardzo na zaznajomieniu mieszkańców tego kraju z naszym politycznym położeniem i specjalnymi warunkami naszej Ojczyzny. Maleńkie miasteczka Szkocji zamieszkane są przez wielu reprezentantów Parlamentu i wielu ludzi, mających dużo do powiedzenia dzisiaj i mogących mieć głos w dniu zwycięstwa. Uwagę tę pozwalam sobie uczynić z tego względu, że gdy wypytywano mnie w czasie krótkich przerw o treść śpiewanych utworów i próbowałam tłomaczyć je otaczającym mnie Szkotom, widziałam wielkie zainteresowanie treścią tych właśnie utworów i ich wiekową patyną,—co dla nich jest symbolem kultury i prawa do życia.

W każdym razie chór nasz śpiewając pieśni szkockie pięknie się odwdzięcza zacnym Szkotom za na każdym kroku okazywaną gościnność i przygarnięcie naszych żołnierzy do swych ognisk domowych.

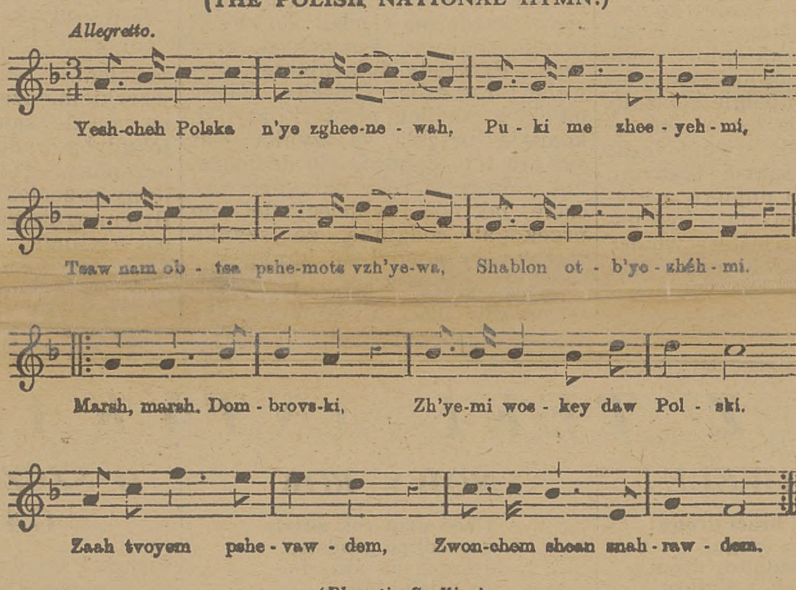
Wychodzący tłum uważał ze stosowne każdemu prawie spotkanemu Polakowi podziękować i wyrazić swój podziw: "*Wonderful, wonderful, indeed!*" Na czysto na tym nastroju zarobili młodzi porucznicy, na których piękne Szkotki, które zjechały z całej okolicy, patrzyły z jeszcze większą czułością. (Jestem pełna podziwu, skąd ci chłopcy wytrzasnęli tyle ładnych dziewcząt?)

Osobiście, wracając do domu, rozmyślałam smętnie, że może jednak szkoda, że mnie wylano ze szkolnego chóru, może śpiewałabym dziś sobie i Szkotom na chwałę. Lecz przecie nigdy nie jest za późno, a Amerykanie twierdzą nawet, że "Życie zaczyna się po czterdziestce." Więc może by się jednak zapisać do chóru i zacząć ten rozdział życia od początku?—

Amelia Laskowska

JESZCZE POLSKA NIE ZGINELA.

(THE POLISH NATIONAL HYMN.)



Ciekawy i wzruszający dokument przyjaźni polsko-szkockiej: nasz hymn narodowy w specjalnej pisowni pomysłu Jana Śliwińskiego, która umożliwia Szkotom śpiewanie chóralne drogich nam słów.

*"Lang may your lum reek"**

Tyle by można napisać o polsko-szkockiej wzajemnej sympatii. Tyle o tym, jak się nam wędrownym wojakom układają stosunki z naszymi obecnymi gospodarzami. . . . Tylko, że co tu dużo gadać: wszystkim wiadomo, iż przypadliśmy sobie do serca i co najważniejsze, Polak ze Szkotem rozumieją się doskonale, mimo różnic językowych.

Jak zawitał polski żołnierz w gościnne progi szkockiej ziemi ledwo co który tysiączny umiał sklecić parę zdań po angielsku. Ale tak to już jest zawsze, że jeśliś naprawdę przypadł komuś do serca, to już bracie będziesz gadał bez słów, to zrozumienie samo przyjdzie, choć gęba inaczej głosi.

Minęło kilka miesięcy odkąd pierwszy *Polish soldier* znalazł się przygnany wśród wyspiarzy wiatrem wojny. "Kiedy wleziesz między wrony musisz krakać jak i one" mówi stare polskie przysłowie. Zabrała się więc wiara i to nie "z musu," ale z chęci do wkuwania angielszczyzny. Pierwsze otrzymane tutaj grosze z reguły poświęcał każdy na kupno najrozmaitszych "łatwych sposobów nauki języka angielskiego" lub innych "tysięcy słów po angielsku." Uczono się grupami i pojedynczo—w lesie i na polu—w namiocie i pod gołym niebem: jak komu było najwygodniej, byle by móc choć parę zdań po angielsku sklecić, parę powiedzeń, "thank you" dziękuję, najbardziej potrzebne—bo było za co dziękować.

Teraz po prawie pół roku nauki i praktyki gada już co drugi jaką taką angielszczyzną i rozumie już prawie wszystko. Czasem tylko biedak nie umie się dobrze wysłowić albo operując słownikiem tłomaczy żywcem z polskiego. I w tym właśnie tkwi czasem najzawilsze nieporozumienie językowe, które jednak prostuje zawsze myśl i serce. Ale, że zabawne to bywa często, tego nikt nie zaprzeczy. Rozpisują się nawet na ten temat szkockie dzienniki.

W jednym z ostatnich numerów "The Sunday Scottish Express" czytamy artykuł pod tytułem: "*The Pole "revenge" hospitality.*" Oto jeden z żołnierzy polskich chcąc odwdzięczyć się za serdeczną gościnę, jakiej doznał w szkockim domu, po wyjeździe z miasteczka, w którym poprzednio stacjonował, przesłał swoim przyjaciołom prezent, a w liście towarzyszącym upominkowi napisał, że śle podarunek "*to "revenge" the hospitality he had received*"—by "zemścić" się za gościnę, której mu udzielono. Śmiechu było podobno co niemiara z tej wyjątkowo miłej "zemsty."

"*Revenge*" w angielskim słownictwie "zemsta" tak było podobne do polskiego "rewanżu"—odpłaty, i do francuskiego "*revanche*" o tym samym co polskie znaczeniu, że wdzięczny żołnierz wypisał to słowo w swoim liście w najlepszej wierze pięknego wysłowienia się po angielsku.

No i stało się! Nawet w gazetach obsmarowali. Ale pisząc zaraz obok, nie bez odcienia dumy, że Polacy z reguły już dosyć dobrze mówią po angielsku. I nie tylko po angielsku! Nawet już "skotsem" gadają — dialektem spod Edinburgh i Dundee. Ba, nawet czasem gallijskim "*schlanceva*" zatrącą.

Oto na przykład miasteczko Biggar pamięta dobrze i przekazało reporterowi "The Sunday Express" do opisania moment, kiedy to kapitan Ł . . . zapytany, gdzie jest jego kwatera odpowiedział najczystszym "*Scott's dialect*"

"*Awa doon the road there, by that field o'neeps.*"

Takiej "angielszczyzny" żaden Anglik nie zrozumie, zbyt jest szkocka.

Ale Szkoci dumni są właśnie z "takiej angielszczyzny" swoich gości. Dlatego też, jeśli niektóry z kolegów powie dziś, że obawia się, by nie nabrać "złego" akcentu, przebywając w Szkocji, nawet nie spojrzę w jego stronę. Bo mnie wystarczy moja angielszczyzna serca—szkocka, którą pokochałem, jak ludzi, którzy nią mówią, i którym życzę z całego serca i duszy w ich własnym dialekcie "*Lang may your lum reek*"—to "*revenge*" *your hospitality.*

Bolesław K. Piekarski

* "Oby najdłużej dym wzbijał się nad twoje ognisko"—najlepsze życzenia w staro-szkockim dialekcie.

"Two kanapkis"



Na terenie W. Brytanii wypisaliśmy już setki, o ile nie tysiące wierszy na temat propagandy. To słowo tak modne, a obce nam przed laty stało się ulubionym tematem rozmów o każdej porze dnia i nocy tak, jak ongiś np. "fotomontaż," "bridge," czy "lambeth walk." O propagandzie mówi dzisiaj każdy, nie wyłączając najmłodszego narybku emigracyjnego.

Z przeróżnych tematów zawsze zjeżdża się na propagandę, czy to jadąc dwupiętrowym "busem," czy też połykając "*fish and chips.*" Słowo propaganda na ziemi angielskiej jest tak popularne, jak gin lub whisky. Każdy z nas uważa się dzisiaj niemal że za ambasadora propagandy polskiej i krzewi ją tak, jak umie w myśl staropolskiego hasła "cukier i propaganda krzepi." Stara się być tym siewcą kapitalnych pomysłów, które gdzieś tam w górze utknęły. . . .

Chwilami w głowie człowieka powstają przeróżne pomysły, nawet takie, jak np. wypuszczenie polskich papierosów z napisem "Płaskie." Z uporem maniaka każdy z nas myśli o tym, o tamtym twierdząc, że każdy udział Polaka w środowisku Szkotów, czy to w czasie gry w bridge'a, czy to podczas występu estradowego, jest tylko naszą dodatnią propagandą. Odmiennego zdania był mój znajomy, który zawyrokował, że w ten sposób wszystko można by było podciągnąć pod propagandę, ba nawet "pójście do szynku na gin lub whisky."

Zastanówmy się, czy bar szkocki, nazwany tak lekceważąco przez mego przyjaciela, może być terenem naszej propagandy. Sądzę, że tak. Zależy tylko od umiejętności zachowania się w barze i nawiązania rozmowy na odpowiednim poziomie. Wiemy dobrze, że nigdzie nie rozkręcają się tak języki, jak właśnie przy bufecie. Tam to buduje się pierwsze zdania, nabiera się pewności siebie i jakoś rozmowa klei się. Ale czy teren barów nie da się wykorzystać dla innych celów, poza wtajemniczeniem Szkotów w znakomitość naszej wódki? Najlepiej w myśl starej dewizy, że "żona trafia do męża przez żołądek," możemy uderzyć do gościnnych gospodarzy. A zatem młyn przeróżnych przysmaków, tj. żołądek, może posłużyć dla celów naszej propagandy.

Niejednokrotnie obserwowałem naszych żołnierzy, którzy po wypiciu kilku ginów i kilku szklanek piwa stawali się bardzo elokwentni. Szkoci z pewnym wyrozumieniem patrzeli na nasze czułości i wynurzenia. Z uśmiechem tylko dodawali, że Polacy to silny naród, ale mają słabe głowy. Na nic nie przydały się moje perswazje, że Polacy umieją wypić, tylko ten gin jest wyjątkowo silny. To oczywiście cieszyło Szkotów, że są "autorami" tak mocnego nektaru.

Zastanawiałem się później, jak temu złemu zaradzić. Wreszcie znalazłem wyjście. Przypomniałem sobie, że Polacy muszą "zagryzać." Nazajutrz, skoro świt, wpadłem do baru. Dla przyzwoitości, wypiłem jakiś naparstek i posługując się słownikiem, nawiązałem rozmowę z właścicielem baru na temat znakomitych, płynnych wyrobów szkockich. W przerwach "naparstkowych" wkładałem w mózgownicę właściciela baru, że u Polaków jest taki zwyczaj, iż po każdej kolejce ginu, muszą coś przegryźć. Właściciel robił poważną minę i nie mógł w żaden sposób zrozumieć tego zwyczaju. Zupełnie słusznie. Przecież od tysiąca lat w Szkocji nie było przekąsek, więc i teraz Szkoci nie będą łamać tradycji. Po kilku kolejkach dopiero zrozumiał, że pomysł ten może być nawet interesujący. Niestety władca baru nie wykazał większego zrozumienia i odłożył pomysł kanapkowy "ad acta."

Dni mijały, a Szkot stale odpowiadał: Pomyślę nad tym, zastanowię się, tu żona decyduje.

Nie traciłem jednak nadziei, że jeżeli pan właściciel niema zrozumienia dla naszych kanapek, to może będzie miała je małżonka. Jak w dym, uderzyłem do płci pięknej. Szkotka, po długich wywodach i wyczerpującym wykładzie na temat sztuki bufetowej, założyła wreszcie okulary, wzięła do ręki ołówek i zaczęła skrzętnie notować "ekwipunek kanapkowy." Zadowolony tym sukcesem, zwróciłem się do niej, mówiąc: proszę jutro kupić chleb, sardynki, szynkę, ser, masło, pomidory, jaja, no i cebulę!

Na samą myśl o cebuli, Szkotce potoczyły się po policzkach łezki.

—Jakto, — zapytała, — a naco cebula? Czy to ma być gotowana? Przecież cebula jest bardzo ostra!

— Nie szkodzi—Polacy lubią rzeczy ostre jak brzytwa.

Następnego dnia, na ladzie bufetu oczekiwał mnie jeden pomidor, anemiczna cebulka, trzy plasterki szynki, niedorozwinięte jajko i jakiś mikroskopijny serek. Rada familijna otoczyła mnie kołem, patrząc na każdy ruch mej ręki. Pokrajałem dość szybko chleb, co nie wywołało specjalnego zachwytu. Następnie chwyciłem za tego nieboraczka pomidora i ostrym nożem pociąłem go w plasterki. Tu rodzina wykazała już większe zainteresowanie, tylko pani domu zwróciła mi uwagę, że należy zdjąć skórkę z pomidora. Ręką, a raczej błyszczącym nożem zaprotestowałem. Rewelacją było pokrajanie jajka. Rodzina stała nad moją głową, jak komisja lekarska na sekcji zwłok, wpatrując się w każde me cięcie. Po chwili orzekli chórem: *Very good, very nice*. Przecięty figlarnie ser, wywołał teraz salwę śmiechu. Kiedy na chleb rzuciłem plasterki szynki, komisja orzekła, że szynka jest surowa i nie nadaje się do jedzenia. Mając w ręku narzędzia tak ostre, jak nóż i widelec, zdołałem przekonać rodzinkę, że szynka jest "very good" do kanapek.

Audytorium z każdą minutą powiększało się. Przyszła nawet stara ciocia, która na widok pokrajanej cebuli na pomidorze, cofnęła się momentalnie, wygłaszając jakieś uwagi w niezrozumiałych dla mnie słowach. Po półgodzinie kanapki obsiadły półmiski. Było ich 38—pamiętam, jak dziś. Cała rodzina, dotykając palcami, skrupulatnie liczyła. Jeszcze coś niecoś upiększyłem ich wygląd, jak np. wąskim tasiemcem ćwikły, względnie posiekanym jajkiem. Tu nastąpiła ogólna konsternacja i wydobył się niemy zachwyt: *O very good artist*!

Na tym nie zakończył się mój występ przygodnego bufetowca. Złapałem arkusz papieru i ołówkiem rzuciłem następujące litery: "Kanapki polskie a la Hawełka, w cenie 3d." Ten pomysł reklamy nie zachwycił właściciela baru, który dopiero na moje usilne żądanie, zawiesił napis w oknie. Po skończonej "operacji kanapkowej" Szkot z grobową miną dodał: A jak te kanapki nie pójdą i zepsują się? Przecież ja stracę dwa i pół szylinga.

—Niech się pan nie obawia.

Nieco speszony usiadłem w kącie baru i oczekiwałem tego pierwszego, który złakomi się na polskie kanapki. Minuty mijały, a tu jak na złość klijentów nie widać. Przyszli wprawdzie jacyś trzej żołnierze szkoccy, ale nawet nie rzucili okiem na półmisek. Pokiwali coś jeno głowami, uśmiechnęli się i po staroszkocku ciągnęli dalej piwo. Już byłem zrozpaczony, że ten cały wysiłek i propaganda wezmą w łeb, a najważniejsze to te dwa i pół szylinga, które z żołdu trzeba będzie pokryć. Nagle weszli nasi wachmistrze i tradycyjnym zwyczajem, posługując się mimiką, zamówili "*large whisky.*"

Siedząc w rogu z moim przyjacielem, sugerowaliśmy ich wzrokiem, ażeby zwrócili uwagę na polskie kanapki. Wtem padł, jakgdyby wydobywający się z pod przepony brzusznej okrzyk: Rany, przecież to polskie kanapki! Byłem uratowany ja i moje dwa i pół szylinga. W mig poszło 16 kanapek, a każda oblana została nową kolejką. Po tym wyczynie, Szkot zaczął łaskawiej spoglądać



na mnie. W pół godziny potem, kanapki zniknęły jak kamfora. Szkot z uśmiechem podszedł do okna, poczem odwrócił napis i rzekł: "*finish kanapkis.*"

Poczta pantoflowa szybko działała w obozie, rozsiewając niewiarygodne wieści, że w barze Wilsona pojawiły się polskie kanapki. Nazajutrz cała rodzina, zakasawszy rękawy wzięła się do pracy w myśl mojej recepty. Sfabrykowali oni w trzech godzinach "aż 51 kanapek." I w tym dniu po godzinie tym samym równym krokiem, podszedł to okna właściciel baru, odwracając znów napis i zacierając ręce. Po tygodniu produkcja wzrosła. Rodzina przyjęła system pracy Taylora. Jedno krajało chleb, drugie smarowało masłem, a trzecie ucinało ogonki sardynkom. Przy tak zmechanizowanym sposobie pracy produkcja zwiększyła się do dwustu kanapek dziennie. Właściciel zacierał ręce i głaskał sobie łysinę, a w dniu, w którym pobił rekord, wypuszczając "na rynek" 400 kanapek, zaprosił mnie na małe piwo, dodając: "Ja dziś płacę panu jedno małe piwo, *oh it is very good business.*"

Po miesiącu kanapki całkiem "zeszkociły się." Szanujący się Szkot mknął już tylko do baru Wilsona na jeden gin i "*two Polish kanapkis.*" Właściciel tylko uzupełnił afisz skromnym dopiskiem: "*Polish kanapkis à la Wilson.*"

Dziś bar ten opustoszał. Żołnierz polski zmienił stację odżywczą "Ovomaltiny" ginowej—a w barze tym pozostał jeno napis i nieliczne już polskie kanapki. Ale być może, że po latach, ten skromny przysmak polski, wprowadzony na ziemi szkockiej, będzie na ustach, a raczej na języku niejednego Szkota tak, jak w świecie znana była szynka westfalska, pasztet strassburski, sznycel wiedeński, piwo pilzneńskie czy gulasz węgierski.

Gdyby tak udało się nam na tej ziemi szkockiej wprowadzić nasz bigos, wierzę, że Szkoci lizali by palce. A gdyby tak rzucić na rynek polskie kiełbasy, np. krakowską, dębowiecką, wileńską? Szkoci napewno nadziewaliby się tym przysmakiem. Nie wiem, czy ta wieprzowa propaganda nie przypadłaby do serc, a raczej do żołądków Szkotów. Pamiętajmy, że przez żołądek, najcześciej trafia się do serc ludzkich. Drogą okrężną można trafić też i przez "szynk." Tylko to wszystko musi być ładnie podane i odpowiednio nakryte.

A zatem propagandziści gastronomiczni—bierzcie się do dzieła. Okres obecnych Świąt daje wam przeróżne możliwości. Jedzmy, bo kto wie, czy wojna potrwa jeszcze trzy tygodnie! . . .

Antoni Wasilewski
rysunki autora

Drugi Koncert Propagandowy
Świetlicy Polskiej na Brixton Hill.

WIECZÓR
KOLEND I MUZYKI POLSKIEJ
Niedziela 12 stycznia 1941 r. o godz. 2.30 p. poł.
Program:

I część
Kolendy Polskie w wykonaniu zespołowym i solowym T. Szymonowicza, Z. Kozłowskiego i St. Łobaziewicza.

II część
Polska Muzyka Klasyczna.
Chopin, Moniuszko, Wieniawski, Paderewski, Karłowicz, w wykonaniu solowym L. Llewellyn, T. Szymonowicza i J. Cetnera oraz zespołowym J. Cetnera, T. Jareckiego i Z. Jareckiego.

Sala Koncertowa
at St. Mary's (Church) Hall, Corner of St. Alphonsus Road, S.W.7
Dojazd: Naprzeciwko Kościoła.

Bus: 34, 37, 45, 67, 88, 117, 137.
Tram: 2, 4, 6, 8, 20, 34, do Clapham Common, near the Clock.
Underground: Clapham Common.

SPIS RZECZY:

Z TEKI ANTYKA

GÓRĄ WAWELE!

Jak to dziwnie, braci droga:
niby to jednaka droga,
a tu z Libii—dréptu, dréptu,
a do Libii—skok z Egiptu!

Mały Włoch ma krótkie nogi,
Anglik zaś jest długonogi,
ale kiedy Włochy wiały,
to i nogi im zdłużały.

Jedno powiem: dobra nasza!
zawarzyła się już kasza!
Co tu gadać, przyjaciele!
Wavell . . . Górą są Wawele!

INTERES ŹLE IDZIE, TRZEBA WSPÓLNIKÓW!



NOWY ROK

Choć nam rok zeszły
zeszedł po grudzie,
jeszcze na świecie
są dzielni ludzie.

A jeśli dzielni,
to nie ma mowy,
by nam zwycięstwa
nie dał rok nowy.

INWAZJA

Inwazja—to jest słowo bardzo nieprzyjemne,
zwłaszcza dla tych, co płyną przez odmęty ciemne
i których nie spotkają z kielichem małmazji,
tylko z tym, co się patrzy gościom od inwazji.
Nie trzeba się przejmować, nie trzeba mędrkować,
ale się na spotkanie gości przygotować.
"Mój dom jest moją twierdzą"— tak twierdzą w Londynie.
Płynie gość nieproszony? — Przypłynął?—Odpłynie!
Chyba—żeby przypłynąć nie potrafił wcale . . .
Zimna i nieprzyjemna jest woda w kanale,
wywrotne—płaskodenki, niepewne—kajaki,
a w końcu będą miały używanie raki!

O SZCZEKLIWYM GAYDZIE

Szczekał Gayda, szczekał, szczekał,
no—i w końcu się doczekał:
Abisynię dostał w zęby,
zmełł Albanię na otręby,
przeciw Polsce szczekał brzydko,
Francji plątał się za łydką,
szczują go na Greków—hajda! . . .
Bujda, bajda, panie Gayda!—
Brytan waści spuści—lanie,
bo kiep kundel przy brytanie!

Antyk

NIE TĘDY DROGA DO ATEN



("Dziennik Związkowy")

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.